


ROCZNIK II. 1869. ZESZYT VIII.

# OJCIEC NIKON.

## POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

T. T. J.

(CIĄG DALSZY.)

### VIII.

#### Brat i kochanek.

Prokop Dobrzański znikł ze szkoły. Wiadomość ta, gdy gruchnęła pomiędzy studentami, ogromne sprawiła zdziwienie.

Był to czas, w którym i tym, co na ławach szkolnych zasiadali, nie było tajnem, że się na coś zanosi. Młodzież czuła niejako ruszający się pod sobą grunt, a zwłaszcza ta część, co była pod wąsem, i niejeden sposobił się do rzucenia książki w kąt i ruszenia w świat. Zachodziło tylko pytanie: dokąd ruszyć?... Na widnokręgu politycznym nie zarysował się jeszcze żaden wyraźny punkt, posiadający moc przyciągania studentów. Dla czegoż Prokop znikł?

— Czy się zląkł trzydziestu bizunów?

Jednym wydawało się to niepodobieństwem przez wzgląd na to, że nieraz brał on cięgi i złożył dowody odwagi w znoszeniu takowych; inni powiadali:

— Nosił dzban, póki się ucho nie urwało...

Byli jednakże tacy, co bez względu na dowody utrzymywali, że:

— Nie to złoto, co się świeci...

Byli to zawistni, co starali się sławę Prokopa zaćmić, i przytaczali jego własne wyrazy, wymówione przez niego, kiedy skazanym został na bizuny w liczbie trzydziestu, wyrazy które cała klasa słyszała:

— Skóra nie szklanka, nie stłucze się.

— Ot, patrzcie — powiadał jeden z tych, którzy miewali częstą z kalafaktorem styczność — jak to ludziom wierzyć nie można. Zdawało się, że Prokop *heros*, a on stchórzył!... Nakiwał ojcom Bazylianom piętami... Było czego...

A on z radością, której opisać nie sposób, z listem w zanadrzu do setnika Hrycia Szyła, który był osobistym starosty wareckiego znajomym i utrzymywał też ze szlachtą polską stosunki, pośrednicząc w tym względzie pomiędzy nią a atamanem, mierzył własnemi krokami przestrzeń dzielącą Buczacz od Olchowca. Na jego bowiem zapytanie starosta nietylko pozwolił, ale zalecił mu widzieć się z dziadkiem.

— I owszem — rzekł — pozdrów ojca Nikona odemnie, pomów z nim i okryj się na drogę jego błogosławieństwem.

Prokop tedy spieszył do Olchowca i wpadł do probostwa niespodzianie. Jerynka krzyknęła, gdy go zobaczyła, a ojciec Nikon zrazu się dziwił, lecz natychmiast się zmarszczył.

— Co tu robisz? — zapytał. — Na święta Bożego Narodzenia nie puszczają jeszcze studentów...

— Nie jeszcze... dopiero za tydzień — odparł Prokop.

— Tyś coś zmalował?...

I przybrał staruszek surowy wyraz, który zniewolił Prokopa do tłumaczenia się w następujący sposób:

— Nie, dziaduniu, jam nic nie zmalował... opuściłem szkołę za wiedzą i wolą księdza prefekta...

— Nie skończywszy szkół?! — zawołał staruszek. — Z jakiegoż powodu? w jakim celu?...

— Idę na Zaporoże...

— Co?!

Obecność siostry język mu w gębie więziła. Wymówiwszy wyrazy „idę na Zaporoże“, spostrzegł się, że powiedział za dużo. Nie był przyzwyczajony do tajemnic, zwłaszcza w obec swoich najbliższych. Więc się zmieszał, jakby na gorącym uczynku schwytany. Bąknął coś pod nosem i wyszedł. Za nim wybiegła Jerynka, zaniepokojona gniewem dziadka i postępkiem brata.

— Co ty zrobił? na Boga!

Lecz zaledwie Prokop usta otworzył, ażeby jej dać odpowiedź, dziewczyna odpowiedziała sobie sama. W błyskawicowy sposób w jej umyśle Zaporoże stanęło jak palladium wiary prawosławnej, jak boży bicz na tych, co ojca, matkę, brata i siostrę Tanasa żywcem w ogniu spalili. I z uniesieniem zawołała:

— Ty na Zaporoże!... Będziesz Zaporożcem!

Prokop wziął ją za ręce, popatrzył jej w oczy i odpowiedział:

— Tylko nikomu o tem nie powiadaj, a ja się przed dziaduniem wytłumaczę... Zostań, ja pójdę sam...

Wrócił do świetlicy i opowiedział dziadkowi całą rzecz.

Staruszek zesmutniał.

— No... — rzekł po długiej chwili milczenia. — Pokazuje się, że taka jest boża wola, ażebyś ty po mnie parafii nie odziedziczył... Cóż robić! Trzeba się będzie oglądać za poczciwym mężem dla Jerynki i jemu swoją trzódkę zostawić... a ciebie — tu staremu głos zadrzał i łzami nabrzękły powieki — niech Bóg prowadzi i na prostej trzyma drodze... służba ojczyźnie służbą Bogu jest...

I dawał wnukowi nauki:

— Stój przy wierze ojców wytrwale, ale niech cię Bóg broni, ażebyś miał kiedy wiarę robić przedmiotem kłótni... Poniża religię, kto ją do ziemskich nagina rzeczy... Nad Dnieprem i za Dnieprem będą ci o błahoczynju dużo mówili; będą ci je do rąk pchali, jako oręż przeciwko twojej ojczyźnie; pamiętajże sobie, że te gadania nie płyną z ducha wiary, która zaleca miłość i przebaczenie jako oręż, którym Chrystus wojował i którym nieprzyjaciół swoich pokonał, ale z ducha pogańskiego pragnienia cudzej własności, z podszeptów Moskwy... Pamiętajże to sobie i nie daj się uwieść takim nawet rzeczom, które ci się będą wydawały niezbitemi przeciwko twojej ojczyźnie dowodami... Chrystusa żydzi ukrzyżowali, pomimo to Chrystus nie zaparł się żydowstwa...

Opowiedział Prokopowi o mliowskim tytorze i o całopaleniu pod Kaniowem rodziny popa Lasińskiego. I wytłumaczył mu, że w tych sprawach religia grała rolę tumana, który i stronę cierpiącą i stronę prześladującą w obłęd wprowadził.

— Te tumany idą od carskiego tronu z Moskwy. Ale— dodał — jeżelibyś był w Mliowie albo pod Kaniowem, to rozpytaj ludzi o miejsca, gdzie się te bezeceństwa spełniły, pójdź tam i westchnij do Boga i poproś go, ażeby tuman rozpędził.

Następnie starzec dawał wnukowi informacye i instrukcye, jak się ma w jakim razie znajdować, i zakończył rzecz błogosławieństwem:

— Oby Bóg strzegł ciebie i twoje ścieżki prostował!

Prokop niedługo w Olchowcu zabawił. Przyszedł jednego dnia nad wieczorem, a drugiego, gdy kukułka cztery razy wychyliła się z dużego cyferblatu i cztery razy zawołała „kuku“, wybierał się już w drogę przebrany za parobka, co rusza w świat szczęścia szukać. Dla Jerynki chwila wyjścia jego była uroczystą, tem uroczystszą, że naturalny smutek, jakiego doznawała rozstając się z nim, podnosiły, uświęcały i poetyzowały dumy, opiewające rozstanie siostry z bratem. Uczucie jej stopniowo nastroiło się na ton poetycznego smutku. W pierwszej chwili, gdy się dowiedziała, że Prokop idzie na Zaporoże, przeraziła się; następnie pierś jej napełniła się jakimś nieopisanym zachwytem; skończyło się na tem, że jej serce ścisnęło się, gdy sobie wyobraziła, że Prokop odchodzi daleko, w nieznany, zagadkowy świat, i że się z nim już może nigdy nie zobaczy. „Nigdy“ zawyło jej w duszy, niby wiatr jesienny po badylach mogilnych. Coś się w niej kruszyło, łamało. Wolałaby, żeby Prokop powrócił do Bazylianów, albo został w Olchowcu, ale zaledwie to życzenie zformowało się jej w myśli, natychmiast przedstawiała się jej postać brata, otoczona blaskiem atamańskiej wielkości, idąca w przyszłość pełną sławy kozaczej. A obok postaci brata szła inna w aureoli męczeństwa i była jakby natchnieniem, co się z jej własnej wydzielało duszy i duszę Prokopa przejmowało. I urabiało się w niej pragnienie, sprządz Prokopa ze ślepym lirnikiem i stanąć pomiędzy nimi, niby opiekuńczy duch, osłaniający jednem skrzydłem jednego, drugiem drugiego. Całą noc spędziła na niespaniu i całą noc przemyślała o nim i o nim.

Kukułka cztery razy zawołała „kuku!“ i posypały się iskry z krzemienia. Ojciec Nikon wykrzesał ognia i zapalił światło; dziewka rozpaliła w piecu; Jerynka przystawiła mleka. Prokop wzuł buty pasowe, wdział chołosznie, kożuch i switę z kapturem, na głowę włożył czapkę baranią, i tak wyglądał, że byłaby chyba ta dziewka ślepą, coby się na niego nie zapatrzyła. Jerynce przyszło na myśl, coby olchowieckie dziewczęta powiedziały, gdyby go w tym stroju ujrzały? Lecz była to myśl przelotna, bo

Jerynka wiedziała, że wyjście Prokopa należało zachować w tajemnicy. Więc tylko sama wpatrywała się w niego przez łzy, co się jej w oczach kręciły.

A on na nią prawie nie zważał. Do ostatniej chwili rozmawiał z dziadkiem, który mu dawał nauki i polecenia.

— Jeżelibyś zaszedł do Motreneńskiego monasteru, to pozdrów odemnie ihumena, Melchizedeka Jaworskiego. Niegdyś myśleliśmy jednakowo, ale tyle czasu upłynęło, jak go nie widziałem, to nie wiem, co się z nim stało... Niedawno miałem od niego list, a z tego listu zdaje mi się, że on wszedł na błędne manowce. Pozdrów także i Hrycia Szyła, do którego masz list... Masz daleką przed sobą drogę. Musisz najprzód pójść jak do Kijowa, a potem wziąść się drogami, co prowadzą do Czerkas, i spuścić się na dół wzdłuż Dniepru do porohów... Oj! daleka to droga... Nie puszczaj się z miejsca spiesznie; idź zrazu powoli, a jak się wciągniesz, to będziesz mógł i pospieszyć.

Jerynka, słuchając tego, przypomniała sobie pieśń, w której się mówi, jak to siostra brata wyprawia, jak wyprowadza ze stajni wronego konia i strzemię mu złote trzyma. I westchnęła. I do podróżnej torby wkładała Prokopowi chleb, sól, grudkę sera i kilka główek czostku.

Prokop napił się gorącego mleka, zjadł partykę chleba, podpasał się czerwonym pasem i był całkiem gotów do podróży.

Ojciec Nikon oczów z niego nie spuszczał. Staruszkowi było bardzo smutno.

— Bóg wie, czy ja ciebie zobaczę — rzekł, gdy wnuk na pożegnanie do ręki się jego pochylił— Chciałem żebyś był popem... Prosiłem o to Boga gorąco... Ha! „Nie moja Panie, ale twoja niech się stanie wola!“

Błogosławił Prokopa po kilka razy i przytrzymywał go, żeby znów pobłogosławić i w czoło go całować.

Prokop płakał jak bóbr i przyrzekał dziadkowi, że będzie postępował wedle jego nauk i bożych przykazań.

Jerynka rzuciła się bratu na piersi, ogarnęła ramionami jego szyję i oblewała go gorącemi łzami.

— Mój ty braciszku!... mój sokole!... moje oczko!...

Całowała go w usta, w policzki, w czoło, w oczy, w ręce i wyszła za nim.

Na dworze iskrzyło się od mrozu.

— Wróć do chaty — rzekł do niej Prokop w ganeczku.

— Niech ja ciebie trochę odprowadzę — odrzekła.

— Takie zimno...

— To nic...

— Ależ bo wróć...

— Poczekaj... Ja coś na siebie narzucę i odprowadzę cię trocha... tylko do kołowrotu... tylko do figury...

— Wróć! nie trzeba — rzekł Prokop z przyciskiem.

— Toż ty nie chcesz ostatniej może mojej prośby posłuchać? — prosiła.

— No, to idź, tylko się nie baw.

Lecz był to wybieg ze strony Prokopa. Zaledwie Jerynka do sieni weszła, on się puścił szybkim krokiem. Wrót nie otwierał, ażeby czasu nie tracić. Przeskoczył przez płot i jak złodziej umykał. Uciekał nie tyle może przed Jerynką, dla której chciał chwilę rozstania skrócić, ile przed własnym smutkiem, który mu nagle serce ścisnął jakby żelaznemi złowrogiego przeczucia kręgami. Biegł więc wprost przed siebie, chcąc jak najprędzej oddalić się od ubogiego domku, co był jego kolebką i gniazdem, i wyjść ze wsi, w której urodził się, wyrósł i pozostawiał najdroższe istoty i najmilsze wspomnienia. Czuł on bowiem, że wychodzi na zawsze. Do tego domku mógł powrócić tylko jako pop, a on popem nigdy nie zostanie.

Idąc szybko i będąc zajętym myślami i uczuciami, które w tłumny sposób głowę mu i serce napełniały, nie spostrzegł, że od chwili przeskoczenia płotu miał towarzysza. Jakaś postać ludzka stała naprzeciw okien probostwa i jakby na niego czekała. Gdy wyszedł, posunęła się; przeskoczył przez płot i ona przeskoczyła i jak cień szła za nim, jakby go dogonić chciała i nie zatrzymała się, aż przy kołowrocie, gdy dało się słyszeć wołanie:

— Prokopie! Prokopie!... a tyż odemnie uciekasz?

Na to wołanie Prokopowi tchu w piersi zabrakło; zatknął uszy i pędem się puścił. Postać zatrzymała się, lecz po chwili ruszyła i zwyczajnym krokiem, nie spiesznie ale i nie zbyt powolnie, poszła od kołowrotu ku figurze.

— Czekaj!... czekaj!... wstrzymaj się!... na chwilkę!... na minutkę!... słychać było okrzyki coraz to bliżej i bliżej.

Postać stanęła, zwróciła się na miejscu, i Jerynka dłoniami oparła się o jej pierś — i szybko, ciężko dysząc przemówiła:

— Chciałam do ciebie jeszcze słówko przemówić. Chciałam ciebie jeszcze raz... pocałować.

I pogarnęła się całem ciałem naprzód. Nagle krzyknęła głosem przerażenia:

— Och!...

Rzuciła się w tył. Lecz ją postać przytrzymała za ręce i cichym głosem rzekła:

— Nie bój się... to ja...

Dziewczyna zadrzała i znów z ust jej wydarł się okrzyk:

— Och!...

Ale tym razem nie był to już okrzyk trwogi. Było to raczej westchnienie, które zabrzmiało niedającym się opisać tonem, bo wyraziły się w niem i smutek i radość, i boleść i rozkosz, i skarga na brata, który znikł w ciemności jesiennego przedświtu, i powitanie cudu, który na miejscu brata stawiał człowieka, do którego Jerynka pogarnąć się mogła.

Pogarnęła się.

Jakby jakąś z czarów płynącą siłą pchnięta, przylgnęła do spotkanego niespodzianie, a ten ją ramionami ogarnął i do piersi przycisnął.

Dziewczyna po cichu jęknęła.

— Czy ci źle?

— O!... — odrzekła ledwo dosłyszanym głosem.

Chciała coś jeszcze mówić, lecz „o“ rozpłynęło się w jakąś niewysłowioną nutę, której żaden instrument naśladowaćby nie mógł, która była cicha, jak szmer motylego skrzydła, słaba jak konające echo a potężna jak miłość. I póki brzmienie tej nuty trwało, dziewczyna tuliła się coraz to mocniej i mocniej do piersi człowieka obcego.

I nagle—szarpnęła się. Krew uderzyła jej do głowy; dziwne gorąco przejęło ją na wskróś; oblał ją wstyd.

Byłaby się wydarła i zapewne uciekła, gdyby nie była za ręce trzymaną.

— Nie wydzieraj się... widzisz? sam Bóg sprowadził cię na moją drogę...

— Prawda — pomyślała dziewczyna.

— Widzisz? ja przechodził i anim się mógł spodziewać, żebyś ty za mną pogoniła...

Doprawdy — w tym wypadku nie podobna było nie widzieć cudowności. Jerynka pogoniła za bratem i dopędziła Tanasa. Nie mogła więc sobie wytłumaczyć tego inaczej, tylko jako boże zrządzenie.

— Nie bój się mnie... Czy ty mnie się boisz? — pytał Tanas.

— Nie... ja się was nie boję...—odszepnęła dziewczyna— ja was od razu nie poznała po ciemku.

I dodała:

— Tak ciemno! a wy już w drodze...

— Dla mnie zawsze ciemno — odrzekł Tanas smutnym głosem.

Jerynka spojrzała mu w oczy, zdawało się jej bowiem że w ciemności świecił mu z za powiek wzrok jasny, jakim każdy obdarzony jest człowiek. Ujrzała dwie białe wypukłości.

— Dla mnie wszystko jedno, dzień czy noc... Mnie matka Boska prowadzi... Szedłem drogą i jakiś człowiek przebiegł mimo mnie... Nie wiem, co to był za człowiek...

Dziewczyna milczała. Przypomniała sobie rozkazanie dziadka, aby z nikim o Prokopie nie mówić.

— Nie wiesz ty? — zapytał.

Dziewczyna milczała.

— Ale ja niepotrzebnie ciebie zapytuję... Chciałem się tylko dowiedzieć, czy ty ufasz posłańcowi Matki Boskiej... Zdawało mi się, że ufasz, a oto, nie odpowiadasz na moje zapytania. Dla mnie nie masz rzeczy niewiadomych. Tym człowiekiem co przebiegł, był twój brat wedle ciała, Prokop Dobrzański...

Jerynka porażoną została ostatniemi wyrazami, jakby na gorącym uczynku wielkiego jakiego przestępstwa pojmana.

— Dziadek ci zalecił, ażebyś nikomu o tem nie mówiła? — rzekł tonem pół zapytania, pół twierdzenia.

— Zalecił — szepnęła.

— Ojciec Nikon na błędnej znajduje się drodze — powiedział jakby do siebie.

— A dokąd poszedł Prokop? — zapytał znienacka.

— Na Zaporoże — odparło dziewczę natychmiast.

— Po co?

— Na Sicz... zaciągnie się do Zaporożców.

Tanas pomyślał przez chwilę i głową z wyrazem niedowierzania pokiwał.

— A co on robił w Buczaczu?

— Uczył się u Bazylianów.

— Nie o to się pytam... Co robił w zamku? co mówił ze starostą wareckim, który tam w tej chwili przesiaduje i wzywał go do siebie?

— Ja... nie wiem — odparła dziewczyna z lękliwem zafrasowaniem.

— Widzisz, ja ciemny a mam widzenie tajemnych rzeczy. Do Buczacza przyjechał Lach poganin, dybiący na naszą świętą, prawdziwą wiarę, Józef Puławski, i wezwał do zamku Prokopa i długo z nim rozmawiał. I Prokop to, co z Lachem poganinem mówił, powtórzył dziadkowi.

— Ja... nie wiem — odparła powtórnie dziewczyna z wzrastającem przerażeniem.

— Czy nie wiesz? czy powtórzyć mi nie chcesz?

Gdyby na miejscu Jerynki był kto, mniej poczciwy a więcej przebiegły, gdyby zresztą Jerynka z całą swoją prostotą i nieświadomością podstępów, nie miała dla Tanasa tego uczucia, co zaślepia, poznałaby z tego zapytania, albo przynajmniej zrodziłoby się w niej podejrzenie, iż owo „widzenie tajemnych rzeczy“ jest po prostu materyalnem widzeniem pewnych faktów, ułatwiających domyślanie się reszty. Z zapytania tego pokazało się, że Tanas widział Prokopa idącego do zamku, w którym podówczas nie było starosty Kaniowskiego a gościł Puławski; że go to uderzyło; że śledził co dalej Prokop z sobą zrobi, że go tropił do Olchowca, i nakoniec że chciał się o wszystkiem dowiedzieć. Lecz Jerynka nie poznała się na podstępie. Odkrycie, uczynione jej przez Tanasa o wdawaniu się Prokopa z wrogami wiary prawosławnej, zatrwożyło ją, zalękła się i na zapytanie odpowiedziała:

— Boże wielki!...

— Nie lękaj się... Ja wiem, o czem ty wiesz a o czem nie wiesz...

— Ja przed wami ani jednego słóweczka nie taję...

— Więc Prokop z ojcem Nikonem mówili?

— Mówili z sobą dużo i z wieczora i z rana. Ja tylko słyszała to, co mówili z rana. Dziadek dawał przestrogi na drogę... mówił, żeby się wziął najprzód jak do Kijowa, a potem jak do Czerkas a w końcu wzdłuż Dniepru do porohów.

Tanas głową pokiwał, zamyślił się i pod nosem coś mruknął.

— A nie wspominali o jakich ludziach.

— Słyszałam dwa tylko nazwiska...

— Jakie?

Dziewczyna po chwilce przypominania sobie, odpowiedziała:

— Ojca Melchisedeka Jaworskiego...

— O którym dziadek powiedział, że się na fałszywej znajduje drodze.

się w głowie. Zwijały się, skupiały, mąciły, ulatywały i i znów przybywały.

Tanasowe myśli szły w wytkniętym kierunku, porządnie jak wojskowe szyki, zestawiały fakta i wytwarzały konkluzye.

Jerynka drzeć poczęła.

— Zimno ci — przemówił lirnik — idź do chaty... a pamiętaj com ci przeszłym razem mówił... Bądź dobrej



— Nie bój się... to ja... (*str. 227*).

— Powiedział...

— Widzisz, jak to się przedemną żadne słówko nie ukryje. A drugie nazwisko?

— Hryć Szyło...

— Uhm... — mruknął pod nosem.

Nastąpiła chwila milczenia, w ciągu której Jerynka myślała Tanas myślał.

Jerynce myśli jak dym w zamknięciu, przybywający w coraz to większej ilości i party powietrzną siłą, kłębiły

myśli, a nie mów dziadkowi, żeś się ze mną spotkała.. Powiedz mu, żeś Prokopa dogonić nie mogła... A czy masz krzyżyk?

— O! A jakżebym go nie miała!

— Chowajże ten krzyżyk, bo w nim jest moc cudowna, której mu Matka Zbawiciela udzieliła... Kto ci taki sam krzyżyk pokaże, ten będzie przezemnie posłany; posłuchaj co on powie, bo on nie będzie mówił z siebie. Niech nad tobą Matka boska czuwa... bądź zdrowa.

Jerynka pochwyciła go za rękę i złożyła na niej pełen uszanowania i uniesienia pocałunek. I w głos zapłakała.

— Nie płacz... nie łkaj — rzekł lirnik.

— Och! jakże ja mam nie płakać, jak nie łkać! — odparła dziewczyna — kiedy ja widzę, że mój dziadek i mój brat idą na zaprzepaszczenie...

— Ty możesz ich podnieść, tylko pełń przykazania, jakie przez moje usta Przeczysta ci daje...

— Żebyć ja im mogła powiedzieć!

— Komu? co?

— Dziadkowi to, co wy mówicie mnie...

— O! niech cię od tego strzegą Bóg, Trójca święta, Matka boża i święty Mikołaj... Cichą bądź, cichą, „albowiem cichych jest królestwo niebieskie". Ty możesz ich podnieść i uratować... Bądź zdrowa, spokojna i dobrej myśli.

Do świtania było jeszcze daleko, kiedy się rozeszli. Jerynka powróciła znękana moralnie i jakby wewnątrz połamana. Kochała a taką miłością czystą, jakiej równej nie znaleść na świecie. Kochała człowieka... świętego. Nad jej wszakże miłością ciężyło coś, niby czarna chmura, a taka gęsta, że nie mogła jej przebić i wzlecieć do góry, w niebo, i poić się tam rozkoszą nieziemskiego kochania.

A on szedł ale powoli. Snadź po tem, czego się dowiedział od Jerynki, nie miał już potrzeby doścignąć Prokopa. Szedł jednakże w jednym z nim kierunku, na Bar, Lipowiec, Białą Cerkiew ku Kijowowi. W Białej Cerkwi rozeszli się. Prokop poszedł ku Kaniowowi, Tanas wziął się na Taraszczę i Koszowatę wprost do Żabotyna.

Jeżeli powiadam, że się w Białej-Cerkwi rozeszli, to nie ma to oznaczać, że przyszli tam razem i rozstali się. Razem zeszli się tylko raz, pod Mikulińcami w karczmie. Prokop nie posłuchał rady dziadka; puścił się z miejsca szybko i na drugi dzień ustał. Ledwo nogi wlókł za sobą. Musiał po drodze na odpoczynki się wpraszać. Idący więc powoli, ale równym chodem, lirnik dopędził go i przepędził i w Białej-Cerkwi nie czekał na niego.

Tanas po drodze spiewał ludziom i na lirze grał; Prokop rozpytywał się i dowiadywał. Tak jednemu jak drugiemu nie szło bardzo dobrze. Zima trzymała ludzi po chałupach, więc trudno było spotykać ich w większych gronach, ani tak często, żeby mieć co moment nowych słuchaczy i opowiadaczy. Mrozy pociskały, śnieg sypał, nieraz wypadało brnąć po kolana. Dla Tanasa, przyzwyczajonego do włóczęgi, były to przeszkody łatwe do przeniesienia i przezwyciężenia; Prokop zaś nie mało się namęczył, zanim się do drogi wciągnął. Po tygodniu jednakże wędrówki wciągnął się jak koń do szli i raźno szedł, przez lirnika poprzedzany.

Celem głównym podróży jego było rozpytanie się ludzi i dowiedzenie się, czy nie nurtuje śród narodu co, coby stanąć mogło jako przeszkoda do wykonania zamysłów, których duszą i główną sprężyną był Puławski. Więc zachodził do chałup i rozpytywał się, więc zasiadał po karczmach i przysłuchiwał się. O uszy jego obijały co moment skargi i narzekania, tu na szlachcica, ówdzie na podstarościch i gubernatorów, gdzie indziej na żyda arendarza, wszędzie na złe czasy. Te ostatnie starzy ludzie porównywali z dawnemi i twierdzili, że za ich młodych lat lepiej bywało. To go nie uderzało. Zastanowiło go tylko, że od Mikuliniec częściej mówiono mu o białym carze i o okrucieństwach Lachów. Nie wiedział, że przed nim szedł lirnik siejący ziarna domowej nienawiści. Jedna go jednakże rzecz zafrasowała, to mianowicie, że fakta, świadczące o prześladowaniu i okrucieństwach, podawanemi były jako rzeczy słyszane. Nigdzie nie zdarzyło się mu spotkać człowieka, którvby powiedział:

— Widziałem to własnemi oczyma...

W okolicach Winnicy słyszał o cerkwiach wypuszczanych żydom w arendę.

— A gdzie to? — zapytał.

— Pod Pokretyczami...

Przyszedł do Pokretycz, pytał o owe cerkwie, i odpowiedziano mu, że to pod Winnicą takich zbytków dopuszczają się Lachy.

Z zabijaniem ludzi i paleniem ich za błahoczynje także działo się to samo.

— Czy to prawda, że zabijają i palą?

— Ta że musi być prawda, kiedy tak ludzie mówią.

— O mliowskim tytorze o uszy jego obijały się różne wersje. W jednem miejscu mówiono, że był na pal wbity, w drugim, że żywcem spalony, w trzeciem, że powieszony za ręce lub za nogi, w innych znów, że go kołem łamano, ćwiertowano, że skórę z niego zdzierano. Rozpytywał się o rodzinę popa Lasińskiego, ale o tej nie umiano mu nic dokładnie powiedzieć.

— Dowiem się ja o tem w Kaniowie — myślał sobie.

Pod Białą-Cerkwią podania tego rodzaju przeniosły się w wprost przeciwną stronę.

— Tylem świata przeszedł — odezwał się w pewnej karczmie wobec kilku, co na komysznikόw wyglądali — a nie widziałem, ażeby gdzie kogo Lachy mordowali.

— E! mołojcze — odpowiedział mu jeden — pójdźno pod stary Konstantynow, albo pod Husiatyn, a nie powiesz, żeś nie widział... Tam, jak tylko pokaże się który błahoczynny, to go do pługa zaprzęgają i póty nim orzą, póki z sił nie opadnie, a jak z sił opadnie, to go Lachy sprzedają żydom na krew do mac.

— Tyś to widział?

— Jam widzieć nie widział, ale tak ludzie gadają... Ot jakoś czy nie po zawczora przechodził tędy ślepy lirnik, co oślepł, bo mu Lachy rozpalone żelazo przed oczami trzymali, i spalili mu ojca, matkę, brata i siostrę... On tego z palca nie wyssał...

— Gdzież to było? — zapytał Prokop powściągając zdziwienie.

— On mówił gdzie, ale ja zapomniałem.

Poczęli sobie jednakże przypominać i pokazało się, że ta okropna nawracaniowa egzekucya stać się miała pod samym Husiatynem we wsi Olchowiec.

Dowiedziawszy się tej wiadomości, począł powątpiewać o prawdziwości męczeństwa popa Lasińskiego. Jakoż w okolicach Kaniowa nic a nic o tem nie wiedziano i wiadomość tę, z tą modyfikacyą, że popowi Lachy gardło roztopionym ołowiem zaleli, odesłano pod Bracław.

O mliowskim tytorze dowiedział się na miejscu od świadków, że został po prostu za wyrokiem sądu powieszony.

A o białym carze, im bliżej Dniepru, tem częściej i więcej mówiono, jako o jakiejś postaci niby legendowej, której bliższego określenia nikt nie umiał zrobić. Wyraźnie był to świeży nabytek, nie zupełnie jeszcze przyswojony.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

# NASZA ZBROJA.


Wydzieliwszy nas z rodzaju,
Rozmnożyłeś Panie! w kraju
Na tych polach lud;
Aby arki strzegł przymierza,
Pasowałeś na rycerza
Ten lechicki ród.

By nie wyrósł na mordercę,
Położyłeś znak na serce
I na piersi znak;
Aby wiedział rycerz boży,
Że na Pańskiéj stoi stroży,
Prościł drugim szlak.

Krzyż od pokus znak ten znaczy,
Tarcz od bolu i rozpaczy
W ciężki duszom czas.
W miłość, wiarę i nadzieję,
Na turnieje i zawieje,
Uzbroiłeś nas.

I stał naród w tych zbroicach,
Nieprzełomny w nawalnicach
Wylanych na świat;
Tyś mu nieraz dał zwycięstwo,
Bo chrześciańskie było męztwo
Jego dawnych lat.

O te zbroje, tarcze ducha,
Łamała się zawierucha,
Pękał wściekły szturm;
Uskrzydlone jako ptaki,
W bój pancerne biegły znaki
Na głos polnych surm.

Póki w zbrój tę zbrojny chadzał,
Póki w Tobie się naradzał,
Po zakonie żył: —
Miał i miłość lud u ludów,
Z krwi zasługę, chwałę z trudów,
Wrogom straszny był.

Lecz wolnością urósł w pychę,
I w swe ufny siły liche,
Złożył oręż Twój;
Straż odbiegła świętej arki!
Jarzmo spadło nam na karki
I wyrok „na znój“.

Wielka nasza wina Panie!
Większe Twoje zmiłowanie
Dla noszących krzyż.
Patrz na skruchę, nie na winę,
Wróć nam zbroję i godzinę
Zmiłowania zbliż.

W miłość, wiarę i nadzieję,
W zbrój troistą na zawieje
Uzbrój, uzbrój nas!
Przez nadzieję, miłość, wiarę
Zagra w piersiach męztwo stare,
Niezłomne jak czas.

Ta troista na nas zbroja
To cudowna łaska Twoja,
Twa opatrzna dłoń.
Zbrój nas Panie! w te puklerze,
Pasowaynym na rycerze
Daj anielską broń!

# Awanturnicy w Polsce.

(Dokończenie.)

Pewien jezuita, który zgłosił się w imieniu arcybiskupa poznańskiego, do którego dyecezyi Warszawa należała, chciał ze mną mówić we cztery oczy. Kazałem go wpuścić, a oddaliwszy obecnych, pytałem czego żąda.

— Przychodzę w imieniu arcypasterza (był nim książę Czartoryski, brat księcia wojewody), aby absolwować pana od cenzury duchownej, której popadłeś przez swój pojedynek.

— Mój ojcze — odpowiedziałem — przyjemną mi jest zawsze absolucya, ale tylko wtedy, jeźli przyznałem się do winy. Zaczepiono mnie i musiałem się bronić. Podziękuj pan Monsignorowi za jego dobroć. Jeżeli mi jednak zechcesz dać absolucyę bez spowiedzi, nic nie mam przeciw temu.

— Jeżeli się pan ze swego błędu nie wyspowiadasz, nie mogę pana absolwować; ale mój bracie, uczyń jedno: proś mnie o absolucyę, jeżeliś się pojedynkował.

— Bardzo chętnie; jeżeli to był pojedynek, więc proszę, absolwuj mnie.

Kochany jezuita udzielił mi absolucyi w tych samych wyrazach. Nie sprzeniewierzył się tradycyom swej szkoły; ci ludzie bowiem umieją wybornie znaleźć zręczne wybiegi.

Na trzy dni przedtem, nim opuściłem klasztor, w zielony czwartek, kazał wielki marszałek ściągnąć straż wojskową. W dzień Wielkanocy poszedłem do dworu na mszę, a król dozwolił mi uklęknąć i ucałować dłoń swoją. Pytał mnie, czemu mam ramię przewiązane (było to umówione), a ja odpowiedziałem, że cierpiałem na reumatyzm.

— Strzeż się pan recydywy — rzekł król z nieznacznym uśmiechem.

Następnie kazałem się zawieźć do Branickiego, którego miałem sobie za obowiązek odwiedzić, gdyż podczas mojej choroby zapytywał się codziennie o mój stan i odesłał mi był moją szpadę. Musiał on jeszcze najmniej sześć tygodni leżeć w łóżku, gdyż nabój mego pistoletu wdarł się w ciało, i musiano znacznie ranę powiększyć, aby go wyjąć, co spóźniło kuracyę znacznie. Król mianował go był właśnie wielkim łowczym koron. Godność ta znacznie była niższą co do stopnia od wielkiego podkomorstwa, była jednak daleko intratniejszą. Mówiono, że Jego kr. Mość udzielił mu tę posadę, przekonawszy się, że jest dobrym strzelcem; jeżeli jednak król nie miał żadnego innego powodu do tego, to powinien był mnie nadać tę godność, gdyż w owym dniu strzeliłem lepiej niż on.

Wchodzę do wielkiego przedpokoju, w którym na mój widok wszyscy obecni oficerowie, strzelcy, lokaje zdają się być zdziwieni. Pytam adjutanta, czy mogę mówić z panem, i proszę go, aby mnie zaanonsował. Nieodpowiadając mi wzdycha i wychodzi. Po chwili otwierają się podwoje, i ten sam człowiek kłania mi się nizko i prosi, abym wszedł.

Branicki leżał w pysznym szlafroku na łóżku i opierał się na poduszkach, które ozdobione były różowemi wstążkami. Blady był jak śmierć i skłonił mi się, zdejmując czapeczkę.

— Łaskawy panie — rzekłem do niego — przyszedłem aby złożyć me uszanowanie i oświadczyć, że bardzo tego żałuję, że nie przepuściłem bagatelki, na którą wcale zważać nie byłem powinien, gdybym był mądrzejszym.

— Nie masz powodu robić sobie wyrzutów, panie Casanova.

— W. Ekscellencya jesteś bardzo łaskawym. Chciałem także powiedzieć, że wyświadczyłeś mi Ekscellencya zaszczyt, który większym jest niż obraza, i chciałem prosić, abyś raczył mnie na przyszłość wziąć w obronę przeciw swym przyjaciołom, którzy nie znając szlachetności Ekscellencyi mniemają, że muszą być moimi nieprzyjaciołmi.

— Przyznaję, żem pana obraził — odparł Branicki — przyznasz pan jednak, że odpowiedziałem za to moją

Geret w Relacyach pisze pod d. 10. marca: „Afera Branickiego i Casanowy skończyła się w okropny sposób. Masztalerz królewski, Ryszewski, umówił się z innymi, że skoro ubije Tomatisa, podniosą ogólny bunt przeciw wszystkim Włochom w Warszawie. Jestto okropny czyn; ten dobry Moszczyński oberwał przy tem straszne cięcie przez policzek, usta i brodę, w skutek czego stracił trzy zęby; napastnika, którego trzymał, musiał puścić, aby go inni nie zabili. Księciu Lubomirskiemu zaś przyparł złoczyńca pistolet do piersi, żeby go ani pochwycić ani krzyczeć o pomoc nie mógł, dopókiby nie dosiadł konia.

Wszystko to opisano w polskiej gazecie, ale przedstawiono, żeby wytłumaczyć bezczelność Branickiego, rzecz tę tak, jakoby to było tylko przypadkowe spotkanie; lecz pojedynek z wszelką rozwagą miał miejsce. Branicki bowiem zajeżdża do Casanovy, nie uprzedziwszy go wcale o tem, zabiera go gwałtem do swego powozu i nic mu nie mówi o strzelaniu, dopiero gdy przybyli do ogrodu na Woli. Branicki już wyszedł z niebezpieczeństwa, Casanova zaś jeszcze siedzi u Reformatów. Ryszewski ma być ogłoszonym za infamisa i wywołanym z kraju.“

„Umarł książę Czartoryski, wielki łowczy koronny. Branicki po owym pojedynku już dostał jego posadę, tak samo, jak po policzku, który dał Tomatisowi, otrzymał od króla order Białego Orła. Jak tu nie ma każdy starać się o takie nagrody, z pobudzaną taką nadzieją puszczać się na największe okropności.“ (Relacye dr L. S. Gereta p. dn. 7. kwietnia roku 1765.)

osobą. Co się tyczy moich przyjaciół, to oświadczam, że jestem nieprzyjacielem każdego, ktoby pana nie szanował. Biniński został degradowanym i z szlacheckiej korporacyi wykluczonym; i dobrze mu się stało. Opieki mojej nie potrzebujesz. Król szanuje cię tak jak ja, tak jak wszyscy, którym znane są prawa honoru. Siadaj pan, bądźmy przyjaciołmi. Filiżanki czekolady dla tego pana! Jesteś pan tedy już wyleczonym?

— Całkiem, Ekscellencyo, brak mi tylko łatwości poruszania w stawach, na którą długo trzeba czekać.

— Dzielnie się pan sprawiłeś z tymi oprawcami chirurgami, czyni to zaszczyt rozumowi i odwadze pańskiej. Miałeś słuszność przypuszczając, że chcą panu uciąć ramię, aby się mnie przypodobać. Ludzie ci osądzają serce innych wedle serca własnego. Niepojmuję jednak, jakim sposobem kula mogła ugodzić w pańską dłoń, zraniwszy panu przedtem brzuch?

W tej chwili przyniesiono mi czekoladę i wszedł do pokoju książę wielki podkomorzy, oglądając mnie z uśmiechem. W przeciągu pięciu minut zapełnił się pokój damami i panami, którzy z ciekawości się zbiegli. Widziałem że dziwiła ich moja przyjaźna komitywa z Branickim. Wytłumaczyłem Branickiemu, w jaki sposób mogłem otrzymać tak dziwną ranę. Jego siostra ozwała się:

— Chciałeś pan zabić mego brata, gdyż mierzyłeś w jego głowę.

— Uchowaj Boże — odparłem — zależało mi przeważnie na tem, aby został przy życiu, aby mnie mógł obronić przed swymi towarzyszami, co też istotnie uczynił.

— Ale pan przecież mówiłeś, że chciałeś strzelać do jego głowy.

— Jestto tylko zwykła formułka mówienia; roztropny człowiek mierzy jednak w środek ciała; głowa nie przedstawia dość miejsca do mierzenia.

— To prawda — wtrącił Branicki — pańska taktyka lepszą jest od mojej. Dałeś mi pan naukę.

— Ekscellencya dałeś mi ją swym heroizmem, a to jest bardziej godnem naśladowania.

— Widać, że pan miałeś ćwiczenie w strzelaniu z pistoletu — odezwała się siostra Branickiego, Zofia.

— Nie miałem go nigdy pani, bo mam wstręt do tej broni. Ten nieszczęśliwy strzał był pierwszym w mojem życiu; miałem jednak zawsze dobre wyobrażenie o prostej linii, dobre oko i pewną dłoń.

— Więcej niczego nie potrzeba — rzekł Branicki — I ja posiadam wszystkie te warunki, i cieszy mnie, że nie strzeliłem tak dobrze, jak zazwyczaj.

— Kula Ekscellencyi strzaskała mi pierwszy członek palca. Jak Ekscellencya widzi, spłaszczyła się o kość. Pozwól Ekscellencya, abym ci ją oddał.

— Żałuję, że panu oddać pańskiej nie mogę, została gdzieś na pobojowisku.

— Rana Ekscellencyi ma się lepiej?

— Z trudnością się goi. Gdybym w dzień pojedynku poszedł był za pańskim przykładem, nie byłoby mnie już na świecie. Opowiadano mi bowiem, żeś pan zjadł tego dnia bardzo dobry obiad.

— Tak jest Ekscellencyo, bo obawiałem się, aby to nie był ostatni.

— Gdybym był jadł obiad — odezwał się na to Branicki — byłaby mi kula pańska porwała wnętrzności, tak zaś ześliznęła się tylko po nich.

Jak się dowiedziałem, Branicki przed pojedynkiem był na mszy i spowiadał się i komunikował. Ksiądz zapewne nie mógł mu odmówić absolucyi, gdy powiedział, że go honor zmusza do pojedynku. Ja, który albo bardziej, albo mniej byłem prawowiernym od Branickiego, zwracałem tylko do Boga następujące słowa:

— Panie! gdy mnie mój nieprzyjaciel zabije, będę potępionym; strzeż mnie tedy od śmierci. Amen.

Po długich zajmujących rozmowach pożegnałem się z Branickim, aby się udać do hrabiego **Bilińskiego**, w. marszałka kor. (brata hr. Salmor). Starzec ten, który kończył lat ośmdziesiąt, był na mocy swego dostojeństwa najwyższym zawiadowcą sprawiedliwości w Polsce. Nigdy z nim nie mówiłem; obronił on mnie jednak od lansierów Branickiego i wydał mi akt ułaskawienia; musiałem mu tedy dłoń pocałować.

Kazawszy się zaanonsować wszedłem; a dostojny ośmdziesiątletni starzec przyjął mnie słowami:

— Czego pan sobie życzysz ode mnie?

— Pragnę ucałować dłoń dobrotliwego męża, który podpisał moje ułaskawienie, i przyrzec W. Ekscellencyi, że na przyszłość będę roztropniejszym.

— Radzę to panu. Za amnestyę podziękuj pan królowi; gdyby nie jego bowiem wstawienie się, byłbym cię kazał ściąć.

— Mimo łagodzących okoliczności, najłaskawszy panie?

— Jakich okoliczności? Czy to prawda, czy nieprawda, żeś się pojedynkował?

— Nieprawda, bo byłem zmuszony bronić się. Możnaby mnie było obwiniać o pojedynek, gdyby Branicki według umowy wyprowadził mnie był po za obręb starostwa; tymczasem zmusił mnie bić się na miejscu, dokąd mnie mimo swej woli zaprowadził. W. Ekscellencya po dobrej informacyi nie kazałbyś mnie ściąć głowy.

— Nie wiem, cobym był uczynił. Król chciał, abym cię ułaskawił; to dowodzi, iż był przekonany, że zasługujesz na ułaskawienie. Jeżeli pan chcesz być jutro przy moim stole, będziesz mi pan pożądanym.

— Z radością będę posłusznym.

Najszanowniejszy ten starzec miał wiele wykształcenia i rozumu. Był on wielkim przyjacielem sławnego Poniatowskiego, ojca króla. Na drugi dzień mówił o nim wiele przy stole.

— Jakaby to była pociecha dla szanownego przyjaciela W. Ekscellencyi — rzekłem — gdyby był doczekał widoku syna w koronie.

— Nie byłby na to pozwolił.

Nacisk, z jakim te słowa powiedział, pozwalał mi czytać w jego sercu. Należał on do saskiej partyi.

Tego samego dnia, tj. na Wielkanoc, byłem na obiedzie u ks. wojewody ruskiego.

— Polityczne powody — mówił mi — nie dozwoliły mi odwiedzić pana w klasztorze, nie wątp jednak o mej życzliwości, bo dużo o tobie myślałem. Każę dla pana przygotować u siebie pokój, bo moja żona bardzo lubi pańskie towarzystwo; nie będzie jednak prędzej gotów, jak za sześć tygodni.

— Skorzystam z tej zwłoki, aby odwiedzić wojewodę kijowskiego, który raczył mnie zaprosić do siebie.

— Kto pana zaprosił w jego imieniu?

— Pan hrabia Brühl, który mieszka w Dreźnie, a którego żoną jest córka wojewody.

— Dobrze pan zrobisz udając się w tę krótką podróż, gdyż pojedynek narobił panu mnóstwo wrogów, którzy szukać będą sposobności do zaczepki; ale strzeż się pan pojedynkować się raz jeszcze. Przestrzegam pana, nie chodź nigdy piechotą, mianowicie w nocy.

Przeżyłem czternaście dni wśród ustawicznych zaprosin na obiady i wieczorki. Stałem się modnem zwierzęciem. Musiałem bez końca opowiadać szczegóły mego pojedynku. Nużyło mnie to, ale uprzejmość i miłość własna nie dozwalały oporu. Król będąc obecnym przy moich opowiadaniach, udawał jakoby nie słuchał. Raz jednak zapytał mnie, czyli będąc w ojczyźnie mojej obrażony przez patrycyusza, byłbym go wyzwał na pojedynek.

— Nie, Najj. Panie, gdyż z swej patrycjuszowskiej zarozumiałości nie byłby mi stanął i wyzwanie byłoby daremnem.

— Cóżbyś pan był uczynił?

— Najj. Panie, musiałbym strawić obelgę. Gdyby się jednak odważył obrazić mnie za granicą, musiałby mi dać satysfakcyą.

U hr. Moszczyńskiego dowiedziałem się, że Branicki porzucił pannę Binetti, która jak wiadomo, była najpierwszym powodem pojedynku. Ten hr. Moszczyński był człowiekiem bardzo wykształconym i miłym, był nadto nadzwyczajnie wspaniałomyślnym i takiej hojności, że się podarkami zrujnował. Rany jego poczynały się zabliźniać, a choć byłem bezpośrednią, choć niewinną przyczyną wyrządzonej mu nieprzyjemności, nie gniewał się na mnie, owszem był mi przyjacielem.

Najwięcej sympatyi powinien był właściwie mieć dla mnie Tomatis, tymczasem on właśnie krzywo patrzał na mnie. Byłem dlań niejako żywym wyrzutem jego tchórzostwa, moje przewiązane ramię mówiło mu, że cenił wyżej złoto niż honor. Tomatis wolałby był, aby mnie Branicki zabił.

Zdecydowawszy się odwiedzić magnatów, którzy byli malkontentami, i króla albo wcale nic albo tylko skutkiem gwałtu uznawali, wybrałem się w podróż z Campionim, prawdziwym moim przyjacielem, człowiekiem serca i energii.

Książę Karol Kurlandzki wyjechał do Wenecyi; poleciłem go moim przyjaciołom i zapewne był z nich zadowolonym. Anglikański pastor, który w Petersburgu dał mi polecenie do księcia Adama, przybył był właśnie do Warszawy. Byłem z nim razem na obiedzie u księcia, a król który lubił pastora, chciał być na obiedzie. Mówiono o pani Geoffrin, starej przyjaciółce króla, która miała przybyć do Warszawy na zaproszenie i kosztem króla, który mimo ciągłych zmartwień był zawsze duszą towarzystw. Monarcha ten, któremu wszelką sprawiedliwość oddać muszę, miał tę słabość, że chętnie słuchał potwarzy, co mu przeszkodziło zapewnić mi karyerę. Miałem przyjemność przekonać go, że nie miał słuszności.

Szóstego dnia po moim odjeździe z Warszawy, przybyłem do Lwowa; zatrzymałem się bowiem u młodego hr. Zamojskiego, który miał 40.000 dukatów renty, co mu nie przeszkadzało cierpić na konwulsye.

— Chętnie — mówił on — oddałbym wszystko temu, ktoby mi zdrowia użyczył.

Jego młoda żona litość we mnie wzbudzała. Magnat ten, który wkrótce potem umarł, podejmował mnie w przepysznym pokoju, w którym nic nie było, co do wygody jest przeznaczonem. Taki to zwyczaj w Polsce: przypuszczają tam, że przyzwoity człowiek podróżuje opatrzony we wszystko, czego potrzebuje.

We Lwowie zajechałem do gospody, którą jednak opuścić musiałem, aby mieszkać u sławnej kasztelanowej Kamińskiej (Zofii Kossakowskiej), wielkiej nieprzyjaciółki Branickiego, króla i całej jego partyi. Była ona bardzo bogatą, ale ją konfederacya zniszczyła. Przez ośm dni ugaszczała mnie ona w pyszny sposób, przyczem ani ja, ani ona nie mieliśmy przyjemności, umiała bowiem tylko po polsku i po niemiecku.

Ze Lwowa udałem się do jakiegoś małego miasta, którego nazwiska nie pamiętam (nazwiska polskie są bardzo trudne), aby doręczyć list księcia Lubomirskiego do generała Józefa Rzewuskiego. Był to krępy, nizkiego wzrostu starzec, który nosił długą brodę na znak żałoby z powodu powstających w ojczyźnie nowacyi złej wróżby. Był to bogaty, uczony, zabobonnie religijny i nad miarę grzeczny człowiek. Zatrzymał mnie przez trzy dni u siebie. Utrzymywał komendę nad swoim małem, fortyfikowanem miasteczkiem, w którem stał garnizon, złożony z pięciuset żołnierzy.

Pierwszego dnia byłem z kilku oficerami w jego ko-

mnacie, gdy wśród rozmowy wszedł oficer, coś z gospodarzem mówił, a potem mnie na ucho szepnął:

— Wenecya i św. Marek!

— Św. Marek—rzekłem głośno—jest patronem Wenecyi.

Wszyscy się głośno śmiać poczęli. Spostrzegłem, że to było hasło dane przez J. Eksc., które mi z grzeczności udzielano, i począłem przepraszać, poczem hasło zaraz zmieniono.

Stary magnat mówił wiele o polityce. Nie był on nigdy u dworu, postanowił atoli pojechać na sejm, aby się wszelkiemi siłami opierać zamiarom rosyjskim w sprawie dyssydentów. Dzielny ten generał, zacny Polak starego autoramentu, był jednym z owych czterech, których Repnin porwać i na Sybir wywieźć kazał.

Pożegnawszy się z tym dzielnym patryotą, udałem się do Krystynopola, gdzie mieszkał sławny wojewoda kijowski Potocki, który był jednym z kochanków cesarzowej moskiewskiej Maryi Iwanównej. Dostojny ten pan, który był jeszcze przystojnym, utrzymywał dwór przepyszny. Przyjął on zaszczytnie list hr. Brühla, i zatrzymał mnie przez dni czternaście u siebie, podczas których robiłem ustawiczne wycieczki z jego lekarzem, sławnym Styrneusem, zapamiętałym przeciwnikiem słynnego doktora Van Swieten. Jakkolwiek ten Styrneus był bardzo uczonym, był przecież trochę waryatem i szarlatanem. Trzymał się systematu Asclepiadesa, który według sławnego Boerhavego był niewłaściwym, dokonywał jednak świetnych kuracyi.

Za powrotem do Krystynopola grałem z wojewodą i jego towarzystwem codziennie. Nie grano wysoko, a ja wygrywałem, co bardzo dla mnie było potrzebnem. Po dość przyjemnym pobycie u tego wojewody powróciłem do Lwowa, gdzie miałem romansik z piękną dziewczyną, która poźniej starostę śniatyńskiego tak ująć umiała, że się z nią ożenił. Tak to przechowywaną bywa w arystokratycznych rodach czystość krwi.

Opuściwszy Lwów, gdzie z moim przyjacielem Campionim tak wesoło żyłem, zwróciłem się ku Puławom, pysznemu zamkowi nad Wisłą, o 18 mil od Warszawy odległemu, który należał do wojewody ruskiego, a który on sam wybudował. Tu opuścił mnie Campioni, aby powrócić do Warszawy, gdzie miał interesa.

(Tu opuszczamy ustęp niepotrzebny, w którym Casanowa opisuje przygodę miłosną).

— Tak tedy zwiedziłem Podole i Wołyń, które w kilka lat poźniej przechrzczone zostały na Galicyę; gdyż nie mogły przejść w austryackie posiadanie bez zmiany nazwy. Utrzymują wszakże, i pod materjalnym względem może to być prawdopodobnem, że urodzajne te prowincye są teraz szczęśliwsze niż dawniej.

W Warszawie zastałem panią Geoffrin, którą powszechnie czczono i dla prostoty jej stroju podziwiano. Co się mnie tycze, to nie spotykałem się z przyjaźnemi spojrzeniami i nietylko zimno, ale wprost źle byłem przyjmowanym.

— Nie myśleliśmy — mówiono mi— że pana tu znowu zobaczymy. Czego pan chcesz tutaj?

— Chcę długi moje popłacić.

To postępowanie ze mną wydało mi się oburzającem. Nawet wojewoda ruski zmienił się dla mnie całkowicie. Przyjmowano mię przy stołach, ale nie mówiono ze mną. Księżna, siostra ks. Adama, zaprosiła mnie łaskawym tonem, abym był u niej na wieczerzy. Z wielkim pospiechem przyjąłem to zaproszenie i przy okrągłym stole dostałem miejsce *vis a vis* króla, który ani słówka do mnie nie przemówił. To mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło.

Nazajutrz byłem na obiedzie u hrabiny Ogińskiej, córki księcia Czartoryskiego, w. kancl. litewskiego i pewnej hrabiny Waldstein, bardzo zacnej damy, która miała lat dziewięćdziesiąt. Podczas obiadu pytała ta dama, gdzie król wczoraj był na kolacyi. Nikt nie wiedział, a ja milczałem. Gdy wstano od stołu, nadszedł generał Roniker, a hrabina powtórzyła pytanie.

— U księżnej strażnikowej — odpowiedział generał — a pan Casanova był tam także.

— Czemużeś pan o tem nie mówił, gdym pana pytała? — rzekła hrabina.

— Dlatego pani hrabino, że mocno jestem zmartwionym, iż tam byłem. Nie tylko J. Kr. Mość słowa do mnie nie przemówił, ale nawet nie popatrzył na mnie ani razu. Widzę, że jestem w niełasce, a nie mogę odgadnąć przyczyny.

Wyszedłszy od Ogińskiego udałem się do ks. Adama Sułkowskiego, który jak zawsze bardzo dobrze mnie przyjął i oświadczył, że źle zrobiłem, wracając do Warszawy, bo powszechnie zmieniono o mnie opinię.

— Cóż uczyniłem? — zapytałem.

— Nic; ale taki to już w ogólności polski charakter: niestały, niekonsekwentny, bez właściwości i powierzchowny: „*Sarmatorum virtus veluti extra ipsos*“ (Cnota sarmatów jest niejako zewnątrz nich). Zmienność ta dużo nas jeszcze kosztować będzie. Szczęście pańskie było zrobione, zaniedbałeś chwili, radzę mu, abyś wyjechał.

— Bez wątpienia uczynię tak, ale to jest okrutnem. Gdy powróciłem do domu, oddał mi mój służący list, który jakiś nieznajomy położył przed mojemi drzwiami. Otwarłem go, był bez podpisu, miał jednak cechę życzliwości, i mogłem poznać, że pochodzi od osoby, która mi dobrze życzy. Donoszono mi, że według słyszanego z ust króla samego oświadczenia, J. kr. Mość nie widzi mnie już z przyjemnością u swego dworu, gdyż mu zapewniano, żem w Paryżu był powieszony *in effigie*, uciekłszy z loteryjną kasą szkoły wojskowej, i że we Włoszech wykonywałem poniżające rzemiosło wałęsającego się komedyanta.

Takie potwarze w obcym kraju łatwo rozsiewać, a zbijać trudno. Takie to są dwory; nienawiść, podsycana zazdrością, nigdy tam nie spoczywa! Chętnie byłbym te podłe intrygi odpłacił pogardą i wyjechał natychmiast, ale miałem długi a nie miałem pieniędzy, aby je popłacić, a potem do Portugalii wyjechać, gdzie się spodziewałem znaleźć nowe środki.

Nie wychodziłem już nigdzie i widywałem się tylko z Campionim, który jeszcze smutniejszym był odemnie. Pisałem do Wenecyi i wszędzie, zkąd tylko pieniędzy dostać się spodziewałem, gdy naraz przyszedł do mnie generał, ten sam, który był obecnym przy moim pojedynku, i oświadczył mi z ponurą miną, że król rozkazuje mi, abym w przeciągu dni ośmiu opuścił starostwo.

Rozdrażniony w najwyższym stopniu tym niesłusznym rozkazem, odpowiedziałem, aby doniósł królowi, że nie usłucham rozkazu; a jeźli będę musiał wyjechać, to chcę, aby wiedziano, że uległem tylko gwałtowi.

— Takiej odpowiedzi — rzecze z godnością generał — nie mogę przyjąć. Powiem królowi, żem spełnił jego rozkaz, i nic nadto. Czyń pan, co za stosowne uważasz.

Uniesiony gniewem i niedbając o skutki napisałem do króla, że mój honor wymaga, abym się stał nieposłusznym jego rozkazom.

„Najjaśniejszy panie — pisałem — moi wierzyciele przebaczą mi, gdy się dowiedzą, że dla tego tylko opuszczam Polskę, nie zapłaciwszy im, że W. K. Mość przemocą mnie z niej wypędziłeś.“

Gdy myślałem o tem, jakby list ten przesłać królowi, nadszedł hr. Moszczyński. Opowiedziałem mu wszystko, co mnie spotkało, i przeczytawszy mu mój list, pytałem, jakby go królowi przesłać.

— Daj mi go pan — rzekł — ja go sam oddam.

Gdy się oddalił, wyszedłem, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, i spotkałem księcia Sułkowskiego, który nie był zdziwiony mojem opowiadaniem. Chcąc niejako osłodzić mi gorzką pigułkę, którą mi zażyć dano, opowiedział mi Sułkowski obszernie, co mu się przytrafiło w Wiedniu, zkąd mu cesarzowa Marya Teresa kazała wyjeżdżać w przeciągu 24 godzin, a to za to, że przywiózł dla arcyksiężniczki Krystyny komplementa od księcia Ludwika Würtembergskiego.

Na drugi dzień przyniósł mi hrabia Moszczyński tysiąc dukatów, dodając, że król nie wiedział, iż jestem w kłopotach finansowych. Zresztą powinienem przedewszystkiem salwować życie, i dla tego dano mi rozkaz wyjazdu, gdyż w Warszawie byłbym w niebezpieczeństwie, którego na dłuższy czas uniknąć byłoby niepodobieństwem.

Niebezpieczeństwo to wypływało z pięciu czy sześciu wyzwań, które otrzymałem a na które nawet nie odpowiedziałem. Hr. Moszczyński dodał nadto, że rozkaz wydalenia się nie krzywdzi mnie, bo dany mi został wśród stosunków nieubliżających.

Perswazye te sprawiły, że nietylko dałem słowo, że wyjadę, ale nadto prosiłem hrabiego, aby w imieniu mojem podziękował królowi za wszystko dobre, którego od niego doznałem. Szlachetny Moszczyński uściskał mnie za to, prosił mnie, abym do niego pisał, i ofiarował mi w prezencie kolasę podróżną, bo własnej nie miałem. Dowiedziałem się zarazem od niego, że Binetti została okradzioną przez własnego męża, który jej zabrał dyamenty, klejnoty, bieliznę itd. Wielbicieli tancerki, między którymi najznakomitszym był brat króla, musieli się składać na nią. Dowiedziałem się także, że w. hetmanowa koronna, siostra króla, przybyła z Białego Stoku, i że jest nadzieja, iż jej mąż zdecyduje się w końcu przybyć do Warszawy. Ten hetman był prawdziwym hrabią Branickim, jak już powiedziałem, a Branicki, czyli raczej Branecki lub Braniecki (Bragnecki), który mnie zaszczycił pojedynkiem, nie należał wcale do tej rodziny.

Zaraz na drugi dzień zapłaciłem moje długi, coś około 200 dukatów, i wyjechałem w towarzystwie hr. Clary z Warszawy.

---

Tak się skończyły przygody włoskiego awanturnika w Polsce. Casanova nie mógł strawić doznanego upokorzenia i żalił się zawsze na króla przed Polakami przebywającymi za granicą. Przybywszy do Drezna miał sposobność widzenia się z siostrą ks. Adama Czartoryskiego. „Miałem zaszczyt być przedstawionym księżnej—opowiada on — i dowiedziałem się z jej ust, że król zanadto był słaby, aby nie uledz wpływowi potwarzy. Rzekłem jej, że jestem zdania Ariosta, który twierdzi, że cnoty o tyle tylko są szacowne, o ile zasadzają się na stałości. Czy uważała księżna pani, że gdy po raz ostatni jadłem przy jednym stole z Najj. Panem, to udawał, jakoby mnie nie widział? Ubolewam nad monarchą, który w podobnem położeniu czyni się niegodnym szacunku filozofa. W. Wysokość udaje się teraz do Wiednia a ztamtąd do Paryża, ujrzysz mnie we Francyi i będziesz mogła donieść królowi, że nie byłem tam nigdy powieszonym *in effigie*“.

Z dalszego ciągu pamiętników Casanovy dowiadujemy się, że pobyt w Polsce dostarczył mu materyałów do dzieła o „Rozruchach w Rzeczypospolitej Polskiej.“ Opisując swój pobyt w Tryeście nadmienia on o tem następnemi słowy: „Spędziłem około dziesięciu dni w moim pokoju, studjując wszystkie memoryały o wypadkach w Polsce, które zebrałem w Warszawie, i począłem pisać historję zajść tego nieszczęśliwego kraju aż do podziału, który właśnie w czasie, kiedy pisałem, uskuteczniony został. Ten smutny koniec, który przewidziałem, a nawet drukiem zapowiedziałem, gdy sejm polski przy elekcyi uznał carowę za cesarzowę Wszech-Rossyi a elektora brandeburskiego za króla Prus, skłonił mnie napisać



Wieczór nad Wisłą koło Gdańska. — *Podług obrazu W. Stryjowskiego.*

całą historyę aż do podziału; z powodu nierzetelności księgarza, który nie dotrzymał umowy, wydałem jednak tylko trzy tomy. Cztery ostatnie tomy znajdą się po mojej śmierci w rękopiśmie, a kto będzie miał ochotę, może je wydrukować. Mnie już wszystko jest obojętnem, odkąd przekonałem się, że panowanie głupoty szczyt swój osiągnęło.“

Po tej wzmiance rzuca Casanova kilka uwag o przyczynach upadku Polski. W rozumowaniu jego jednak nie napotykamy nic uwagi godnego. Mimo to wszakże możeby nie zawadziło, aby ktoś zajmujący się badaniem epoki Stanisława Augusta, przejrzał owe trzy tomy dzieła o Polsce, których nam odszukać się nie udało. Jeżeli prawda, co nam Casanova prawi o swoich blizkich stosunkach z najznakomitszemi figurami warszawskiego dworu, a mianowicie, jeżeli istotnie, jak to czytaliśmy, otrzymał od biskupa Załuskiego ustne wskazówki i oryginalne materyały do historyi współczesnych wypadków w Polsce — to w dziele tem znajdą się może nowe i ciekawe szczegóły dla historyka. Co do owych czterech dalszych, niewydanych dotąd tomów jego dzieła o Polsce, to właśnie niedawno wyczytaliśmy w dziennikach niemieckich wiadomość, że pisarz niemiecki Lucyan Herbert (Julius Gundling), znalazł w Czechach, w zamku Dux, gdzie spędził ostatnie lata swego życia Casanova, ogromny stos manuskryptów w języku francuzkim, własną słynnego awanturnika ręką pisanych.

*W. Ł.*

# FLISAKI.

Flisem albo flisakiem nazywano w dawnej Polsce w ogóle wszystkich marynarzy, tak sterujących statkami po morzu, jak spławiających po rzekach naszych na tratwach, szkutach lub dubasach drzewo, zboże i inne płody naszych ról i lasów. Kwitnęło też z dawna flisactwo w Polsce, i owszem w czasach odleglejszych rozwijało się na szersze rozmiary, niż w nowszych.

W wiekach X. i XI., kiedy główny trakt wodny pomiędzy Gdańskiem a Szczecinem przechodził nie morzem, lecz środkiem ziem polskich, byli flisacy polscy prawdziwymi marynarzami, a jezioro Gopło było jakoby morzem śródziemnem, łączącem w jedną sieć wód dorzecze Warty i Odry z dorzeczem Wisły. Z opadnięciem wód Gopła i przerwaniem wodnej komunikacyi pomiędzy Wartą a Wisłą, stracili i flisacy polscy znaczenie marynarzy i spadli do rzędu zwyczajnych wioślarzy rzecznych, których głównem polem działania stała się Wisła z uchodzącemi do niej spławnemi rzekami. Obszerny handel zbożowy prowadzony Wisłą przez Gdańsk z zagranicą, zatrudniał jeszcze zawsze bardzo wiele rąk, i jeszcze w XVI. i XVII. wieku była taka wielka liczba flisów w Polsce, że *volumina legum* nałożyły na nich podatek osobisty. „Flisacy każdy od siebie płacą po groszy 20 — opiewa odnośna ustawa — krom tych flisaków, którzyby na statkach szlacheckich płynęli, a ich poddani właśni byli, takowi mają być od tego wolni.“ Przysłowie z tamtych czasów „nabożeństwo flisowskie“, gdy kto zajadle przeklina, charakteryzuje tych żeglarzy. Klonowicz w swoim „Flisie“ opisał wiernie zwyczaje flisów wiślanych i zachował ówczesny język flisowski, który każdy z tych żeglarzy musiał dobrze umieć, aby nie był za fryca wzięty i za nieumiejętność karany. Język ten utrzymał się dotąd pomiędzy flisami, tylko znacznie zbogacony. Podobnież charakter ich i obyczaje mało się zmieniły, jakkolwiek żegluga parowa, zaprowadzona na Wiśle, znacznie podkopała dawne znaczenie tych żeglarzy rzecznych.

Jak w XVI. wieku tak i dzisiaj popędliwość przy wielu dobrych przymiotach: pracowitości, odwadze i dzielności, odznacza flisów wybitnie. Flisowstwo idzie od wieków u naszych kmieci nadrzecznych rodami i od dziecińatwa wprawiają się do niego. Kiedy spławią do Gdańska produkt przez kogo im powierzony, wracają gromadnie do stron rodzinnych, ochoczo spiewając za wtórem swojego grajka. Płynąc po Wiśle w czasie głuchej ciszy, która nie dozwala im rozwinąć żagli, biorą płachtę zmoczoną w smole, zapalają i puszczają na wodę, przygrywając na fujarkach i skrzypkach. Podług dawnego, może jeszcze pogańskiego podania, uważają oni to za sposób niewątpliwy uproszenia wiatru, aby zadął w żądanym kierunku. W drodze z powrotem wybierają najchętniej miejsca spoczynku pod figurą czyli krzyżem, albo przy kapliczce, gdzie się pomodlić mogą. Przypływając pod brzeg lesisty, wybierają grubą sosnę, albo dąb stary, wycinają korę i w pień drzewa wprawiają obrazek Matki Boskiej, aby towarzyszom płynącym tą samą drogą, przymnożyć miejsc odpoczynku. W Gdańsku, prócz innych drobiazgów, kupują ulubione i niezbędne przy ich stroju pasy włóczkowe ponsowe, któremi opasują się czy po koszuli pod kamizelką, czy po wierzchu swego żupana. W XVI. wieku stroili się w sute karazye, czapkę magierkę, w białe szarawary, buty z długiemi cholewami po kolana i taki sam pas ponsowy. Najulubieńszą ich potrawą w czasie spławu jest pęczak, czyli kasza jęczmienna, suto okraszona słoniną i skwarkami, czyli szwedami jak zowią, i tę potrawę nazywają flisowską jarzyną. Do swego zawodu przywiązani są namiętnie i Sebastyan Klonowicz trafnie powiada:

Bo kiedy już flis zasmakuje komu,
Już się na wiosnę nie zostoi w domu,
Choćbyś stawiał najlepszą zwierzynę,
Przecie on woli flisowską jarzynę.

Ryciny nasze podług obrazu Stryjowskiego przedstawiają dwie sceny z swobodnego i wesołego życia flisów wiślanych.

*Lucyan Tatomir.*

# OKRUSZYNY DUCHA.

## II.

Jeden Bóg — a tyle bogów
Tworzy sobie dzisiaj świat...
Dumę stawia u swych progów,
Próżność wiesza u swych szat.

Gdzie Chrystusa zakon cnoty
Ma ludzkości znaczyć kres,
Tam dziś stoi cielec złoty
Na podnóżu z klątw i łez.

A dokoła tłum stugłowy
Czołga się, by hołd mu nieść
I za szeląg judaszowy
Sprzedać wiarę, kraj i cześć.

Więc ta zgraja żądzą pjana
Nic wyższego nie zna już
Nad lichego brzęk liczmana,
Nad zapustny szych i róż?...

Liczyć chcecie złote plony?
Toż ku niebu spojrzcie raz
I policzcie gwiazd miliony —
A duch boży zstąpi w was.

Franciszek Waligórski.

# ŻONA EMIGRANTA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

PRZEZ

J. K. TURSKIEGO.

Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że wedle bożego rozkazu:
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodyczy w niebie.

A. Mickiewicz. *Dziady. Część II.*

## I.

### *Rozłączenie.*

Pani Marya Malińska była córką ubogiego robotnika w Manchester. Jedynym ale i zarazem niepospolitym jej posagiem była piękność; ojciec jej ciężką pracą zaledwie tyle zarabiał, ile na utrzymanie domu wystarczało; to też i edukacya Maryi była bardzo elementarną i ograniczała się na umiejętności czytania i pisania. Kiedy losy powstania 1830 r. szeregi obrońców naszej ojczyzny rozrzuciły po całym świecie, wielu z biednych naszych tułaczów znalazło gościnne przyjęcie i w Anglii. Krzysztof Maliński, Krakowianin, przeszedłszy różne koleje więzień i tułactwa, znalazł przecież nareszcie kawałek wolnej dla siebie ziemi także w Anglii, i tam mu wolnem pozwolono oddéchać powietrzem. W ojczyźnie nie miał już nikogo ze swoich; rodzice odumarli go wcześnie, a zręczny brat umiał tak roztropnie postąpić sobie z pozostałym po nich majątkiem, że Krzysztofowi nic się nie należało z masy, i że wreszcie, dla bezpieczeństwa nibyto osobistego, urzędownie za zmarłego w tułactwie został uznany i ogłoszony. Żyjący brat jego tak w moc tego urzędowego aktu uwierzył, iż poźniej ujrzawszy żywego brata na własne oczy przed sobą, wyparł się go najspokojniej, widząc wprawdzie niejakie po-

dobieństwo, lecz twierdząc stanowczo, iż Krzysztof, prawdziwy jego brat, dawno już nie żyje.—Manchester nastręczył biednemu wygnańcowi sposobność do pracy i przytułek. Tam pracował on od rana do nocy, i miał skromne ale przyzwoite utrzymanie, i tam też poznał pana Griek i jego córkę Maryę. Poznanie było łatwem, a obudzenie skłonności miłośnej w sercu młodej Angielki jeszcze łatwiejszem. Krzysztof był przystojnym, dowcipnym, wesołym i wykształconym; Maria młodą, piękną i zalotną. Miłość powstała prędko, i prędko uwieńczoną została skutkiem. Krzysztof w rok po poznaniu się z Maryą był jej mężem, a ponieważ była katoliczką, w naszym więc kościele odbył się ślub młodej Angielki z pięknym Polakiem.

Początkowe pożycie Malińskich było prawdziwie szczęśliwem. Krzysztof pracował usilnie i roskoszą małżeństwa goił rany swego serca, zadawane bezustanną tęsknotą za ojczystą ziemią. Marya z całą gorliwością i praktycznością angielską zajmowała się gospodarstwem domowem, pamiętając o wszystkich potrzebach i wygódkach męża, przygotowując mu nawet nieraz miłą jaką niespodziankę. Po roku tak szczęśliwego pożycia Krzysztof został ojcem ślicznego i zdrowego Adasia. Za dziécięciem przybyło jeszcze w dom Malińskich szczęścia i roskoszy. Praca ich i trudy miały teraz wytknięty cel jasny, którym było wychowanie syna. Temu się też oddali całem sercem, i Bóg błogosławił ich usiłowania. Adaś rósł pięknie i zdrowo i był prawdziwą swoim rodzicom pociechą. Pomimo jednak tego szczęścia, jakiego doznawał w domu przy pracowitej żonie i ładnym synku, Krzysztof nie przestawał tęsknić za ojczyzną, i najmilszą dla niego rzeczą było usłyszyć jaką wieść dobrą z Polski i pocieszyć się jaką nadzieją jej przyszłości wskrzeszenia. Z wesołem też i rozpromienionem obliczem wrócił pewnego wieczora z fabryki do domu, gdy się dowiedział od jednego ziomka swego, kolegi w tejże fabryce, że w całej Polsce robią się przygotowania do wybuchu, że organizacya jest wzorowa, że naród cały bierze udział w pracy rewolucyjnej, i że lud w całym kraju oświadczył się z gotowością do walki za Ojczyznę! Było to roku 1845—wieści z Polski nadeszłe natchnione były gorącemi nadziejami, jakie żywiła wówczas cząstka tylko narodu, tułaczom jednak wystarczały one za rękojmię rzeczywistej wiary w przyszłość i nadzieję w najlepsze powodzenie sprawy.

— Teraz zwyciężymy! — rzekł Krzysztof wchodząc do swojej izdebki i witając się z trzechletnim Adasiem, który wybiegał zawsze ku ojcu na powitanie.—Teraz Maryo nadeszła dla nas chwila szczęścia! Musimy się teraz wybić — lub nigdy nie będzie dla nas szczęścia. — Marya z wielką wiarą słuchała słów swego męża, jej się zdawało, że jego przeczucie musi być nieomylnem, a znając polskie stosunki tylko z opowiadań jego była pewną, że ten biedny naród, tak długo jęczący w niewoli, zdobył się wreszcie na siły, i zgodnie w wspólnej obronie stanąwszy do walki, zrzuci jarzmo, gniotące go od tak dawna, i dawną świetnością zajaśnieje. Więc się jej przedstawiło to szczęście, jakiego mąż jej a tem samem ona i dziecko używać będą w Polsce; widziała już tę świetną karjerę, jaka tam spotka Krzysztofa, i dlatego też sama pierwsza zawołała z uniesieniem: A więc jedziemy do Polski!

— Jedźmy moja duszko — powtórzył za nią Krzysztof—i pojedzie także nasz Adaś, który nieznaną sobie ojczyznę pozna dopiero teraz.

Ponieważ zaś wieści z kraju dochodzące coraz to pomyślniej brzmiały, i wiara w pomyślność powstania stawała się coraz silniejszą, przeto też i Malińscy zamierzali już napewno urzeczywistnić swoje projekta, i zaczęli się z początkiem r. 1846 wybierać do Polski. Na koszta podróży zebrało się co tylko było można, paszport wydano im angielski, jako tamtejszo-krajowym, i pełni najpiękniejszych nadziei wyjechali z Anglii. Lecz niestety przybyli do Krakowa w końcu lutego i zastali w nim Moskali, Prusaków i Austryaków i mnóstwo żałobnych sierot z Galicyi, którym ten lud, co miał walczyć za sprawę Polski, w najokropniejszy sposób wymordował ojców, mężów, braci lub synów.

Było to okropne rozczarowanie dla Malińskich! Tak prędko zawiedzione nadzieje i tak boleśnie zwichnięta cała karjera! Dla Krzysztofa był to cios okropny, i to tem okropniejszy, że żona jego zbyt boleśnie dotknięta tak strasznym swoich rachub zawodem, zamiast poddać się smutnemu przeznaczeniu męża zaczęła go od razu obrzucać wyrzutami, i złorzeczyć chwili, w której uwierzyła jego błahym i zwodniczym nadziejom. A gdy wreszcie wyczerpnęły się ich skromne podróżne fundusze, gdy mimo najusilniejszych zabiegów i starań Krzysztof w swym rodzinnym zakątku, dziś prawie obcy i nieznany, żadnego znaleść nie mógł zarobku, gdy nadto wobec ścisłej kontroli policyjnej zniewolony uchodzić za rodowitego Anglika, nie był nawet bardzo o swą osobę bezpiecznym, wtedy już wyrzuty Maryi stawały się coraz dotkliwszemi dla Krzysztofa, i wtedy zaczął się ów rozstrój domowej harmonii i zgody, z którego wyradzają się niebawem najgorsze i najsmutniejsze następstwa. Krzysztof kochający Maryą, uspokajał ją zrazu i koił nadziejami w lepszą przyszłość, ale kiedy zawód po zawodzie spotykał go u swoich, a żona nie przestawała mu wyrzucać, po co ją tu przywiózł do tego kraju, w którym pozwalają umierać z głodu ludziom poświęcającym życie w jego obronie, wtedy Krzysztof zaczął jej także gorzkiemi odpowiadać słowami, i z początku ze łzami w oczach gniewał się na jej wyrzuty, następnie zaczął wpadać w namiętne uniesienia i przyszło nareszcie do tego, że się kochający tak serdecznie Malińscy poróżnili naprawdę między sobą. Krzysztof postanowił użyć jeszcze jednego sposobu. Przypomniał sobie o bracie, o którym dowiedział się w Krakowie, że jest majętnym, i słynie z



Tańczący Flisacy. — *Podług obrazu W. Stryjowskiego.*

szlachetności charakteru. Poszedł więc do niego. Pan Franciszek Maliński przyjął go bardzo grzecznie w własnym domu, prosił siedzieć, częstował cygarami — ale nie poznał go.

— Co mi pan dobrodziej gadasz? Ja mam witać brata w pańskiej osobie?

— Przecież to nie zagadka — mówił Krzysztof— jestem bratem Franciszka Malińskiego, Krakowianina, opuściłem Kraków r. 1831, byłem więziony przez Moskali aż do r. 1834, poczem nie mogąc dostać się tutaj wyemigrowałem do Anglii.

— To wszystko prawda—mówił bogaty p. Franciszek — ale jakże to pogodzić z tą urzędową wiadomością, że brat mój umarł?

— Przecież wiadoma tej malwersacyi przyczyna; ja udałem śmierć moją, aby cały majątek poszedł w ręce mego brata, który nie był skompromitowany politycznie.

— O tem nic nie wiem. Dokumenta wszystkie posiadam po moim bracie. Mam nawet jego kartkę pogrzebową, któżby więc mógł wątpić o jego śmierci?

— Panie! i nic ci twoje serce nie mówi? — spytał wtedy do żywego oburzony bezczelnością brata Krzysztof— nic ci sumienie nie wyrzuca?

— Żal mi ś. p. brata, i radbym, aby mię kto przekonał, ale urzędownie, że to co wiem o jego śmierci, nie jest prawdą.

— To bądź zdrów, nikczemny wyrodku, i najedz się skradzionem groszem. Więcej ci w drogę nie wejdę, ale nędza moja przyciśnie ci kiedyś twoje czyste sumienie. To powiedziawszy wybiegł szybkiemi krokami z mieszkania swego czułego braciszka, w którym ostatnią jeszcze pokładał nadzieję. Powracał do domu z pękającem od rozpaczy sercem. Nic mu już nie pozostawało, jak chwycić się jakiejkolwiek pracy, do której nie był uzdolnionym. Myślał o murarce lub ciesielce, układał plany, że jutro zaraz uda się do pierwszego lepszego majstra, i w tak rozpaczliwem usposobieniu zaszedł do domu, w którym jednak nikogo nie zastał. Na stole była kartka ręką Maryi w angielskim języku napisana, której treścią było powtórzenie tysiąc razy robionych już wyrzutów i postanowienie szukania sobie jakiegobądź sposobu do życia. Wreszcie kończyło się pismo temi słowy: „Dziecko zabieram ze sobą, dopóki nie dojdzie takiego wieku, że będzie mogło przy tobie pracować. Wtedy ci je odeślę, a teraz żegnam cię; niech ci Bóg przebaczy tę nierozwagę, jaką popełniłeś uwożąc mnie z mojej ojczyzny. Żyj szczęśliwy i westchnij czasem za mną do Boga!“ Ścisło się serce biednemu Krzysztofowi, kiedy przeczytał te słowa swojej żony, i obejrzał się po tej strasznej pustce, jaką znalazł w domu. Ani żony, ani dziecka tam nie było. Wszystko, wszystko przepadło, bez śladu, bez wieści! I pocóż teraz troszczyć się mu o jutro, po co szukać sposobu do życia, kiedy to życie dla nikogo na nic się nie przyda? Jedynym celem jego winno być teraz zapomnienie przeszłości i wszystkich uczuć, jakie kiedykolwiek w jego się sercu rodziły. Zatępić serce i zagłuszyć duszę, aby się echo przeszłych wydarzeń nie odbiło na dnie jego. Bo pamiętać dnie swego szczęścia i roskoszy w takiej strasznej chwili bolu i rozpaczy — to okropnie!

Nie łatwo o człowieka, któryby przeniósł takie ciosy, bez walki; trudniej jeszcze o takiego, któryby je przyjął obojętnie. Krzysztof okropną uczuł boleść w sercu rozpatrując się w swojem położeniu, a wypłakawszy się gorzkiemi łzami i ostatnie westchnienie nadziei wysławszy do Boga, zebrał ostatek sił moralnych i fizycznych i poszedł. Dokąd? on sam nie wiedział tego. Nie było celu w jego drodze. Poszedł w świat. A główną i jedyną myślą jego było widzieć jeszcze raz jeden swoją żonę... i przebaczyć jej może szalony krok jej rozpaczy. Dziwne jest serce człowieka; co znieść może, tego jeszcze nikt nie odmierzył; jak również nikt nie odgadł jeszcze, kiedy i jak prędko może pęknąć i ustać...

## II.

### *Ojciec i syn.*

Już Heine powiedział, że to stara piosenka, jeżeli się komuś serce ściska z rozpaczy i bolu; ja ją jednak powtórzę, bo tenże sam Heine powiada, że ta stara piosnka ma zawsze woń świeżości i życia, woń uroku i powabu, jeżeli się do kogo stosuje w sam raz. Czyliż to nie piękny obrazek np., na którym widzisz człowieka, domyślasz się przynajmniej, że to człowiek; wczoraj jeszcze należącego do tego samego społeczeństwa co i ty, wczoraj żyjącego wiarą w przyszłość i troską o jutro, a dziś tarzającego się w błocie i zgniliźnie; dziś nie pamiętającego wcale, że wczoraj żył jeszcze z ludźmi, ani nie zdolnego pomyśleć, że jutro jeszcze czeka na niego groźne, straszne, groźniejsze od dzisiejszej niepamięci, bo chwilkę choćby jedną przytomne, trzeźwe i surowe jak sąd najsprawiedliwszego sędziego. Obrazek taki ukażemy czytelnikowi w ogródku pod Wilkiem na Wesołej naprzeciw ogrodu strzeleckiego. Wejdziemy tam o zmroku, kiedy już nawet służba latarnie ogrodowe pogasiła, i kiedy wszyscy porządniejsi goście wyszli do domu, a pozostała się tylko mała liczba niezmordowanych piwoszów, którym pod koniec każdego kufla nowe myśli przychodziły do głowy, z któremi się wynurzyć musieli koniecznie towarzyszom. Siedzi właśnie takich trzech filozofów w altance nieoświeconej innem światłem, prócz promyka księżycowego, przekradającego się do nich pośród gałęzi i liści krzaków okalających altankę. Jednym z nich jest znany nam już Krzysztof, dwaj drudzy są to jego przyjaciele, pocieszający go po stracie małżonki. Gdzie się z nimi poznał, sam nie wiedział — to tylko pewna, że

się zaprzyjaźnili serdecznie, i że się nie odłączali prawie ani na minutę przez cały dzień i noc. Były to zwykłe uliczne pijawki czepiające się każdego, w kim tylko choć odrobina nerwu życia, tj. pieniędzy pozostała. W Krzysztofie znaleźli oni bogaty skarb dla siebie na parę tygodni. Jego rozpacz i skłonność do obrania sobie zawodu nałogowego pijaka, były dla nich nieoszacowanemi przymiotami człowieka. Jednym z nich był Ignacy Konik, pokątny doradzca i tuzinkowy palestrant, żywiący się kłótniami i niezgodą głupich ludzi; drugim był od dawna nieurzędujący organista pan Sylwester, posiadający niezmiernie wiele dowcipu kufelkowego, i ogromne zdolności do zostania prawdziwym wirtuozem, gdyby nie te nieszczęsne okoliczności, które mu nigdy nie pozwalały wystąpić z swym talentem przed publicznością, ale znającą się na muzyce i spiewie. W tych to dwóch malkontentów ręce dostał się nieszczęśliwy Krzysztof, którzy go napotkali zadumanego i zapłakanego nad Wisłą, i z obawy, aby się nie utopił samobójczo, podjęli się zadania chrześciańskiego ocalenia mu życia, a pozbawienia ostatnich jeszcze środków do jego utrzymania. Krzysztof uległ ich wpływowi. Zaczął pić i znalazł pozorne w ich przyjaźni lekarstwo. Dzień po dniu pozbywał się swoich ruchomości, i otrzymanemi za nie pieniądzmi kupował sobie spokój i krople letejskiego napoju. Z nimi to zasiedział się on dzisiaj w ogródku pod Wilkiem, słuchając ciągłych propozycyi Konika o wytoczeniu procesu żonie i jej uwodzicielowi, oraz skromnych pochwał swego talentu pana exorganisty. Piwa i wódki im nie brakowało, bo Krzysztof właśnie tego dnia sprzedał ostatni swój tużurek, postanawiając za radą swych przyjaciół nie dbać o strój i powierzchowność wszelką. Więc też znikał kufel po kufelku, zjawiła się buteleczka wódki, i ta się wnet wypróżniła; zjawiła się po niej i druga, a czas mijał i ani się spostrzegli trzej przyjaciele, kiedy już północ nadeszła. Wtedy uznano za rzecz stosowną pożegnać ogródek i poszukać jakiego schronienia. Zabierano się więc do wyjścia. W tem dolatuje ich gwar od mieszkania gospodarza domu, w którem już światła pogaszono, i słyszą słowa: Łapaj! trzymaj! złodzieja! Kufelkowi towarzysze będąc już na odchodnem, zwrócili uwagę na ten hałas, skutkiem którego cała służba ogródkowa rzuciła się w pogoń za uciekającym w krzaki złodziejem. Im także nadeszła werwa przysłużenia się gospodarzowi, więc i oni także popędzili za goniącym, i każdy według swego przemysłu szukał w ciemnych zaroślach złoczyńcy.

— Jest! jest szelma! — zawołał nagle pan Krzysztof zatrzymując się pod jednym krzakiem nachylony ku ziemi, i uchwyciwszy złapanego za ramię, szarpał nim rozgniewany na tak widoczną niegodziwość.

Na hasło jego zbiegli się wszyscy kelnerzy, gospodarz w negliżu, pan Ignacy i pan Sylwester.

— Złapałeś tedy zbrodniarza — mówił dochodząc do pana Krzysztofa palestrant — trzymaj, trzymaj, zrobimy zaskarzenie i usadzimy w ciupie łajdaka.

Złoczyńcą był młody chłopak liczący może najwięcej lat dziesięć, który zakradłszy się wieczorem do kuchni właściciela ogrodu pod Wilkiem, umykał w chwili, gdy się wszyscy pokładli, z zabranemi na prędce rupieciami stołowemi.

— Sprowadźcieno tego hultaja do kuchni — mówił gospodarz upatrujący po ogrodzie porzuconych przez złodzieja rupieci — przypatrzymy mu się, co to za ptaszek.—Wśród tych słów cała kalwakada zbliżała się do oświeconej sieni, a wtedy ukazał się ich oczom chłopaczek młody i ładny, drżący ze strachu i zalewający się łzami.

Krzysztof, którego największą było zasługą pochwycenie złoczyńcy, wpatrzywszy się w zbladłą i zapłakaną twarz zadyszanego chłopaka, zadrżał, w oczach zaczęło mu się kręcić i palić, w sercu krew wzburzyła się ogniem strasznej gorączki. Winowajcą bowiem, którego wiódł silnie za rękę, był jego własny syn!

Okropne było jego położenie. Czemkolwiek był, czy pijakiem, czy włóczęgą, czy leniwcem, czy nieprzyjacielem ludzkości i jej porządku... to go w tej chwili nie obchodziło. Jedno tylko odezwało się w jego sercu uczucie, jeden tylko zabrzmiał mu głos w duszy; jeden wyraz huczał mu piorunem w mózgu, a tym było to potężne słowo głosu natury: ojciec!... Jego syn łotrem jest, próżniakiem, występnym, złodziejem, zbrodniarzem, winnym kary, winnym więzienia i chłosty, to wszystko prawda, on to wszystko widzi, wszystko czuje i rozumie dobrze, trzeźwo nawet, bo w tej chwili zupełnie wrócił do przytomności; ale silniej nad to wszystko, wyraźniej i trzeźwiej wie i widzi, że on tego zbrodniarza jest ojcem. Wyraz „ojciec“ to silny paragraf prawa, to straszny rozkaz natury.

Szybkością błyskawicy tysiące myśli przeleciało po głowie pana Krzysztofa w tej chwili, w której jego towarzysze wraz z gospodarzem piwiarni pod Wilkiem zabierali się do związania złodzieja i oddania go w ręce sprawiedliwości. I ważne widać musiały w jego duszy odbyć się walki i starcia, skoro nagle jak rozjuszony tygrys rzucił się między swych towarzyszy i porwawszy złodzieja na ręce, przedzierał się pośród nich do drzwi ogrodu.

— Co to jest? — zawołał gospodarz nie spodziewając się tego obrotu rzeczy.

— Krzysztofie! — wołali mecenas i muzyk.

Ale wszystko napróżno. Ponieważ drzwi ogrodu były zamknięte, Krzysztof ścigany od kilku ludzi, przerzucił prawie w okamgnieniu swego syna przez parkan, i sam za nim tąż samą drogą pospieszył. Pogoń się nie udała. Gdy bowiem przez otwartą bramę rzucili się za nim z gospodarzem przyjaciele jego, już śladu po nim nie było. Znikł wraz z złoczyńcą bez wieści.

— Co to znaczy? — pytał gospodarz — rad, że przynajmniej rupiecie skradzione wrócone mu zostały.

— To ukartowana sprawa! — mówił Konik — złodziej pewno należał do tej samej szajki co pan Krzysztof.

— Być może, być może! — zauważał Sylwester — ja mówiłem wam od razu, że nie należy ufać bardzo temu człowiekowi.

— Ale gdzieżeś też mówił o tem, mój Sylwestrze?—rzecze Konik — przecież go ty chwalił jak jakiego anioła lub świętego.

— Baj-baju! — mówiłem zawsze, że to frant i macie!

— Co robić? — zapytał się gospodarz.

— Ha! cóżby? Dać znać do policyi i koniec — rzekł Sylwester.

— Ej, ktoby się tu mieszał z policyą — mówił gospodarz, który się bał najbardziej stawać do protokołu—niech sobie idą na złamanie karku. I rzekłszy to machnął ręką i zabierał się do odejścia, dając gościom do zrozumienia, że i na nich czas na spoczynek.

— Ha! róbcie jak chcecie, ale jabym tego nie darował— rzekł pan Sylwester — lecz nie było już czasu na dalsze dysputy, i goście musieli się wynieść do domu. Wyszli. Mniejsza o nich. Chodźmy lepiej za Malińskim.

On zobaczył w ogródku syna po raz pierwszy po ucieczce żony. Co się działo w jego sercu, odgadnąć łatwo. Z jakąż niecierpliwością pragnął się dowiedzieć o swojej żonie. Gdzie jest? Czemu synowi pozwoliła się tak tułać? Najprzód jednak trzeba było schronić się w bezpieczne miejsce. Najlepszy punkt dla nich był w karczmie przy cmentarzu. Tam zwrócili swe kroki. Za murem strzeleckiego ogrodu, gdy już byli pewni, że ich nikt nie goni, rozpoczęła się dopiero między nimi rozmowa.

— Adasiu! Adasiu! I ty nie poznajesz twego ojca?

— Nie mogę was poznać, chociaż mi się coś marzy, jak gdybym kiedyś słyszał wasz głos.

— *Bo yon remember that time, when i have speak with yon english?**) — przemówił do niego po angielsku.

— *Yes, yes, you have speak so with me and with my mother* — odpowiedział zepsutą angielszczyzną Adaś i przysunął się bliżej do prowadzącego go za rękę ojca, i uścisnął tę rękę siłą rozbudzonego uczucia w dziecięcem sercu.

— A gdzież jest twoja matka?

— Bóg ją wie! Nie widziałem jej blizko rok.

— I siedzisz tu ciągle w Krakowie a nie szukałeś mnie jeszcze?

— Jakże miałem cię szukać, kiedy mnie matka upewniła, że nie żyjesz.

— A gdzieżeś był potem, gdy odemnie uciekła?

— Byliśmy długi czas u jakiegoś bogatego pana, z którym potem pojechaliśmy na wieś. Ej święte to tam było życie. Na niczem nam nie zbywało. Żyliśmy jak w raju. Było co jeść, pić; ubierałem się jak lord i nic nie robiłem po całych dniach.

— I czemużeś tam nie został?

— Ba! czym to nie chciał? Ale cóż było robić, kiedy mnie ta matka przywiozła nareszcie do Krakowa, wynajęła mieszkanie, zapłaciła z góry za parę miesięcy jakiemuś stolarzowi na Kleparzu, i kazała mię uczyć, abym chodził do szkoły. Ale cóż z tego? Zaczęło się pięknie, ale skończyło się na niczem. Po pół roku miały nadejść nowe pieniądze za mnie, ale nie nadeszły. Pan stolarz czekał miesiąc drugi i trzeci, ale kiedy widział, że wszystko napróżno, kiedy mu listy z poczty zwracali z dopiskiem, że takiej pani nie ma nigdzie, przestał się o mnie troszczyć i kazał mi iść szukać chleba u ludzi. Ha! więc poszedłem. Cóż mi pozostało, jeżeli nie żebranina? Przelatywałem z ulicy na ulicę, zaczepiając każdego lepiej ubranego i nie dając mu spokoju, dopóki mnie nie obdarzył jakim centem. Szło mi nie źle. Ale kiedy zima nadeszła, pogorszyło się. I zimno i głód to za wiele. Kilku przyjaciół poradziło mi łatwiejszy sposób. Zacząłem sprzątać przekupkom bułki, chleb i co się dało. Wyglądającą chustkę wyciągałem, aby nie zginęła, nieostrożnych uczyłem porządku, zabierając im rzeczy, które kładli w miejscach otwartych. I szło jakoś.

— Ależ to kradzież mój synu! — zawołał ojciec przerażony cynizmem syna, który mu z zimną krwią opowiadał swoje zbrodnie.

— Nie ojcze! To było moje utrzymanie. Innego nie miałem. Nikt mnie niczego nie nauczył. Matka rzuciła mnie na pastwę nędzy i głodu.

— Ach ta matka! ta matka! — powtórzył Krzysztof; ale że właśnie dochodzili do karczmy przy cmentarzu, urwali rozmowę i weszli.

W karczmie było kilku starych weteranów nędzy, kieliszka i żebraniny. Krzysztof się z nimi nie znał. Spojrzeli też na niego podejrzliwie, ale najgadatliwszy z nich w zapale mówienia prowadził dalej swoją rzecz.

— Ja mam schowane wszystkie papiery, jest tam wyraźnie napisane, żem szlachcic...

— Ej idźcie, idźcie z waszem szlachectwem. Pięknymi szlachcic, co jada szewskie placki.

— Wierzcie nie wierzcie, ale ja wam powiadam, że za te moje papiery będą jeszcze pieniądze.

— A Mosiek by ci nie dał za nie ani kubka.

— Aj waj, coby nie! — wtrącił żyd na pół drzemiący za szynkfasem.

— Tylko że jabym mu ich nie dał — rzekł z dumą żebrak-szlachcic.

— Jakby nie stało na pokrzepienie, tobyśta może mój panie szlachcicu sprzedał i to twoje szlachectwo.

— Co nie, to nie! Mości panie!—zawołał z gniewem dziad.

---

*) Pamiętasz ten czas, gdyśmy rozmawiali z sobą po angielsku. — Tak, tak, takeś mówił ze mną i z moją matką.

— Ej, gada się tylko.

— Cicho oto bądź, ty stary żebraku, bo ci przypomnę czem jestem.

— Ano! spróbujmy się! — zawołał pijanica ledwo stojący na nogach.

— Wara odemnie! wara! bo!...

— Bo co? Może mnie palniesz w łeb twemi papierami, których już nie masz.

— Jak to nie mam! — zaryczał w gniewie szlachcic, i zaczął szukać w swoich łachmanach i po wszystkich dziurach, w których niegdyś były kieszenie.

— Tu one muszą być koniecznie, bom przecie ich nie przepił u diabła. Gdzież tam u licha one są. Czy mię co oczarowało!

I szukał a szukał, trzęsąc się od złości i czerwieniejąc jak burak, a wyzywający go dziad śmiał się z niego smiechem szatana i pokusy, pasącej się widokiem swojej ofiary.

— Chyba ty stary złodzieju wykradłeś mi je teraz — zawrzeszczał wreszcie, przyskakując do dziada i chwytając go wychudłą ręką pod gardło.

— Puść, puść, bo cię grzmotnę o ziemię.

— Oddasz czy nie?

— Daj wódki to ci powiem.

— Dam wódki, ale już oddaj!

— A umiesz czytać, które twoje, bo ja tu mam dwa takie dokumenta. Jedno kupiłem od Szymona za kwartę miodu, drugie podniosłem z ziemi, kiedy ci wypadło.

— Pokaż, ja poznam moje.

I nastąpiła ugoda, którą o mało że nie poprzedziła bitka. Tymczasem zaś siedzący w kącie Krzysztof z swoim synem przypatrywał się pijanicom.

— Ojcze — rzekł wreszcie do niego Adaś — ja tego starego znam.

— Którego?

— A tego, co szuka swoich papierów.

— A to zkąd?

— On służył u tego pana, u któregośmy mieszkali z matką z początku.

— Jak mu na imię? — zapytał w uniesieniu.

— Jakub.

Usłyszawszy to Krzysztof zerwał się czemprędzej z ławy i zbliżył się do godzących się już między sobą pijaków.

— Panie Jakubie! — rzekł przybliżając się do żebraka-szlachcica — mam z wami pomówić parę słów.

— Kto mię tu nazwał po imieniu — ofuknął pijanica.

— Ja, wasz dawny znajomy, ale mnie pewno nie poznajecie... Dawne to już czasy, jeszczeście służyli u tego pana, co to mieszkał jakiś czas w Krakowie... Pamiętacie...

— U kogo? Czy to ja u jednego pana służyłem w Krakowie, czy co? Jużci prawda, że z jednym tylko przyjechałem do Krakowa; ale któż wy jesteście?...

— Jan Siwka, nie pamiętacie? — mówił maskując się Krzysztof.

— Siwka! Siwka? żadnego Siwki nie znam.

— Ale co tam, ja was znam, to dosyć... i na przypomnienie oto napiję się do was, a może i wy z nami staruchu.

— Ja tam nie od tego — odrzekł wyzwany dziad, trzymający ciągle swe dwa dokumenta w ręku.

— Wasze zdrowie panie Jakubie!

— Pijcie zdrowi panie Siwko!

— Co tam panie Siwko! kiedyśmy przecie koledzy.

— A to jak?

— Ha! bo i ja szlachcic, jeno że nie mam dokumentów.

— A on ma dokumenta, ale nie jest szlachcicem — rzekł dziad.

— Ale, ale — a mój dokument — rzekł szlachcic.

— No, któryż wasz, to oddam.

— Ja czytać nie umiem.

— Piękny mi szlachcic!

— Dawniej i królowie czytać nie umieli, a mieli się dobrze.

— To ja przeczytam — rzekł Krzysztof.

— A pan Siwka umie?

— Umiem. Pokażcie!

W tej chwili jednak ów żebrak-szlachcic jakby się nagle myśli jakiej przestraszył, skoczył do starego dziada i zatrzymując w jego ręku papiery — zawołał: Na rany Chrystusa, klnę cię, nie dawaj temu człowiekowi papierów!

— A to co? Czegoż się obawiacie? — spytał Krzysztof. Chciałem się wam przysłużyć tylko, ale skoro nie chcecie, to dobrze. Nie gniewajcie się tylko, ale oto napijmy się jeszcze po jednym. Pijacy spojrzeli po sobie, nie wiedzieli sami, co począć. Obawa intrygi wydawała się teraz płonną. Zapach jednak wódki nalanej już do kieliszków pojednał ich dopiero na dobre z podejrzanym intrygantem. Wypili.

— Tylko sobie przypomnąć nie mogę, jak się to nazywa ten pan, u któregoście służyli panie Jakubie wtedy, kiedy to ta pani z chłopczykiem... pamiętacie?

— A ha! Mam cię! — zawołał znów zirytowany Jakub. Tego ci trzeba było. I chciałeś mi odczytywać dokumenta. A ha! Bóg strzegł, że ci się nie udało.

— Ależ, co wy mówicie panie Jakubie — mówił zdziwiony Krzysztof — ja o niczem nie wiem.

— A! Chciałeś mię spoić, aby skraść papiery, bo cię pewno ten stary urwisz przysłał, albo może jego kochanka?

— Klnę się wam na Boga, że o niczem złem nie myślałem, jeno sobie przypomniałem was panie Jakubie po głosie, jakem was słyszał w domu u waszego pana.

— A pocożeś tam chodził, kiedy nie wiesz jak się zowie?

— Chodziłem po robotę.

— Aha! I po kradzież...

— Nie mówcie tego, skoro mnie nie znacie.

— Juźci, juźci, nie mówcie tak, zauważał dziad trzymający papiery—pan wam nic złego nie robi, owszem poczciwie poczęstował wódką, a wy się tak odpłacacie.—Jakub zmiękł.

— A ze mną jakże będzie? Któreż oddać papiery?

— Oba.

— A wiele dasz?

— Półkwaterek.

— Zaraz?

— Nie, jutro.

— Ja za was zapłacę półkwaterek — rzekł Krzysztof — i nie potrzebuję wcale oglądać tych papierów, jeno się na mnie nie gniewajcie, a przypomnijcie sobie, czyście mnie kiedy nie widzieli...

— Widzieć ta może i widziałem, ale gdzie i kiedy nie pomnę.

— Więc dajcie wódki — zakrzyknął dziad. Mosiek dał dziadowi półkwaterek. Krzysztof zapłacił. Jakub papiery schował w przepaściach swych łachmanów. Krzysztof powtórzył znów częstunek, kwaterka po kwaterce płynęły, aż przyszło do tego, że Jakub odszedł prawie od przytomności, a stary dziad zsunął się z ławy na ziemię chrapiąc w najlepsze. Jakub był już teraz w różowym humorze, jakkolwiek nie wiele miał już sił.

— Więc to ty Siwko? Ha, ha! Przypominam sobie...

— Przypominasz?

— A juźci! Juźci!

— No i jakże się nazywał twój pan?

— Ten pan, co mię odpędził na starość, aby sobie hulać z łajdaczką jakąś, co nie umiała uczciwie mówić po polsku?...

— Ten, ten, panie Jakubie.

— Ten, co raz spalił pakę papierów, a ja z nich uratowałem kawałki najważniejsze i mogę go sprocesować.

— Ten, ten!

— Ale nie mów na Boga nikomu! Nie powiesz, hę! poczciwy Siwko... ty bestyo Siwko! Takeś mię utraktował.

— Nie powiem, nie powiem! Ani słóweczka nie powiem.

— Otóż ten pan, a ha! tak... tak... — mówił zapadając w senność.

— Ten pan nazywał się?... jak?

— Ten pan nazywał się tak, dobrze, on się nazywał — ha, ha, ha! jakże się nazywał? ten pan...

— Jakubie!

— A ha! czegoż to? marzy mi się! Mośku, żeby mnie ta nie okradli...

— Ależ ten pan jak się nazywał.

— A ha! no, no, powiem, powiem... ale cóż kiedy nie pamiętam...

— Wypędził was.

— Aha! wiem... Ma...liń...ski!...

— Maliński? — powtórzył Krzysztof — ale więcej już nie mógł dogadać się z pijanym Jakubem, bo ten już na dobre zasnął.

— Maliński się nazywał, ten co mię po drugi raz skrzywdził? Ha! Śliczna historya... To mówiąc półgłosem do siebie spostrzegł, że nikt już w karczmie nie czuwa, i że syn jego Adam spi już także w najlepsze. Był w położeniu okropnem, prawdziwa rozpacz targała mu przebolałe serce, a że był już na duchu upadłym, mało brakowało, że nie upadł do szczętu i nie osierocił samobójstwem jedynaka.

— Wódki! — zakrzyknął na drzymiącego przy gasnącej łojówce karczmarza.

— Aj waj!... jest wódka, jest— przestraszyłem się okropnie; trzeba się będzie także napić na ten strach i zaświecić nową świeczkę. Wasan zapłaci.

— Zapłacę wszystko, a będę pił do białego dnia! A jeżeli dasz co za moją duszę, to i za nią wypiję kwaterkę.

— Aj waj — jak pan strasznie gada.

Krzysztof potem pił do upadłego, i dobrze już było po północy, kiedy położył się obok swego syna na ziemi. Usnął. Świt go nie obudził ani nie obudził hałas krzątających się ludzi koło roboty.

Adaś tylko ocknął się nad ranem. Spojrzał po karczmie. Wszyscy spali, ojciec tuż koło niego. Cóż robić? pomyślał.

— A nuż ten ojciec każe pracować, lub ukarze za kradzież... Kto wie zresztą, czy to ojciec... *If onty one man speak english?* *) Ja nie wiem czy to mój ojciec? Ej! co mi tam! Nie ma tu co robić. Wróćmy do swego. I to mówiąc dźwignął się z leżyska, strzepał trociny z wytartej przyodziewy, zebrane na posłaniu karczemnem, i nie pytając się o nic nikogo, wyszedł i zniknął znowu.

Gdy się potem ojciec obudził, i zbierając w myślach wspomnienia dnia ubiegłego, westchnął gorzko i boleśnie nad sobą... promieniejącym blaskiem nadziei zaświeciły mu oczy—gdy spojrzał w miejsce, na którem leżał Adaś, ostatni okruch jego przeszłości, szczątek ostatni jego pociechy... Nie było go już!

Poszedł!... uciekł, przeklął i mnie, tak jak matkę swą przeklina. Ale ja pójdę za nim. Pójdę, pochwycę, przycisnę do serca, póki jeszcze nie pęknie! I obaj będziemy żyli! Będziemy, będziemy żyli!... I temi słowy pożegnawszy karczmę przy cmentarzu, poszedł w świat biedny tułacz, szukać swojego jedynaka.

## III.

### *Węglarze.*

Na rogu ulicy Szpitalnej od strony plantacyi, u stóp resztek baszty floryańskiej i murów dawniejszej warowni

*) Czy to jeden tylko człowiek mówi po angielsku.

Krakowa, rozsiada się dzisiaj gromadka ludzi płci obojej z koszami plecnemi, i czeka rychło bogatszy jaki przechodzień skinie na którego z nich, aby z nim poszedł po węgle i zarobił sobie sześć lub dziesięć centów. Składy węgli znajdują się po większej części na Wesołej, chcących je kupować, droga zawsze prowadzić musi z miasta przez tę część plantacyi. W gromadce tej stanowiącej prawie osobną kastę ludzi, czarnych od węgla, zgłodniałych i zimą przeziębniętych a ogorzałych latem, znajdują się nieraz postacie godne zdolnego pędzla lub ołówka. Jakżeżbo oryginalnie wyglądają u nich te twarze pożółkłe i zwiędłe, te oczy iskrzące się gniewem i zazdrością, a płonące żądzą pochwycenia sposobności zarobku na pierwszy kawałek chleba; te ręce spracowane, żylaste, brudne a silne i grożące jeszcze ciągle wszystkim, którym los pozwolił żyć szczęśliwiej; te w lecie obnażone piersi, strój zaniedbany i nędzny, koszula gruba czarna, kapelusz znaleziony gdzieś na śmieciach, a te buty rozdeptane i napychane słomą, i ta wreszcie cała postać pochylona ku ziemi, a jednak niebezpieczna i groźna dla każdego, ktoby się odważył jej sprzeciwić. Z rozmowy, jaką tam oni głodni i drżący od zimna prowadzą między sobą, możesz się zaraz przekonać o tej goryczy, jaka pożera ich serca, i przerazić się ich zwątpieniem, wyrosłem na gruncie duszy niewzbogaconej moralnością, lecz upadłej pod nawałem niepowodzeń i tysiącznych zawodów w życiu. Rozmowa ta przepełniona goryczą i szyderstwem ze świata, tyczy się najczęściej osobistych namiętności, i porusza w złośliwej obmowie wszystkie plotki i baśnie przeszłego żywota każdego członka ich stowarzyszenia. Okropnie i boleśnie wygląda ta grupa w każdej takiej chwili, kiedy spieszący po węgle upatruje pomiędzy nimi jednego, którego ma zabrać ze sobą. Jestto u nich chwila szczęścia i wygranej niemal na loteryi. W czasach tak wielkiej nędzy, jaka teraz panuje, nastręczająca się sposobność zarobku wobec najszczerszej ochoty do pracy, prawdziwem może się nazwać szczęściem. Wybrany przypadkiem, najczęściej spieszy czemprędzej za swoim chlebodawcą, bojąc się, aby nie utracił tej nadziei, jaka mu już ukazała kawałek chleba, dla jego żołądka tak potrzebny. Pozostali zazdroszczą mu, gniewają się na niego, kpią z niego i naigrawają się ze szczęścia, które właśnie jego wybrało niezasłużenie. A zasługą u nich są lata nędzy i głodu. Kto niedawno wpisał się do ich cechu, ten niegodny prędkiego i wczesnego zarobku. Niech czeka tak jak my czekali. Niech się zasługuje. Biada temu, kto się na ich język dostanie. Przekleństwa i groźby odbiorą mu ochotę do wytrwania w tym zawodzie, który tem się odznacza między innemi, że skromnego wymaga nakładu, bo tylko plecnego kosza, ręki zdrowej i silnej i wytrwałości na zimno i skwary. Dla tych też powodów został właśnie co nie dawno takim węglarzem wyrobnikiem Krzysztof Maliński, na którego dawniejsi towarzysze zawodu z taką zazdrością poglądają. Zjawił się on pewnego poranku zimowego z swoim koszem na plecach na rogu Szpitalnej ulicy, i powitawszy nieznajomych słowem bożem, wyglądał pierwszego lepszego zarobku. Było tam już mężczyzn pięciu czy sześciu, i cztery kobiéty. Krzysztof ubrany był bardzo nędznie; ostry mróz, który się wysilił na jego powitanie, dokuczał mu okropnie. Czapka z rozdartym daszkiem na głowie przedstawiała go jeszcze nędzniej. Kosz jego był stary, taśmy u niego naprawiane sznurkiem, snać długo przedtem używane.

— Oho, mamy jakiegoś nieproszonego panicza — mruczeli mężczyzni ujrzawszy Krzysztofa, opierającego się o mur narożnego domu.

— Pewno wczoraj zabrali ostatni paletocik u Salamona — rzekł jeden.

— Zabrakło kredytu i dalejże do pracy.

— Nie chcą dawać trzęsionki za darmo.

— Będziemy nosili węgle, bo to najlżejsza robota. Ten zarobi, kto szczęśliwszy.

— A jakiś wzrok fanfaroński wygląda mu z pod daszka od czapki. Widać byliśmy kiedyś panami.

Gdy zaś tak rozmawiali z przekąsem o Krzysztofie, nie spostrzegli się, jak pewien nadchodzący z miasta jegomość skinął na niego i kazał mu pójść za sobą.

— Otóż macie, przyszedł ostatni a pierwszy będzie jadł. Bestya jakaś! Człowiek tu stoi z godzinę nadarmo, a ten pijanica ino przyszedł, juźci ma zarobek.

— To pijanica? — spytało się kilku mówiącego z taką pewnością o Krzysztofie.

— Jeszcze jaki — ciągnął dalej mówiący — któremu na imię było Kazimierz, i który znany był z swego pijackiego talentu. Nie dawno żona mu umarła z głodu prawie i rozpaczy, a on nie wiedział nawet z pijaństwa o dniu, w którym ją z szpitala wywieźli na cmentarz; teraz ma ma przy sobie syna Ludwika wyrostka, którego już przyzwyczaja do gorzałki. Ten tedy Kazimierz tak surowo ocenia nowo przybyłego Krzysztofa za to, że pije.

— To jakaś ciekawa figura — mówił inny — słyszeliście jak on to mówił?

— A jakże — tak cedził przez zęby, jakby jaki pan lub uczony.

— Ja wam powiadam — rzekła na to czerwona Jakubowa, nie rada temu, że tak długo mówią o człowieku bez zasiągnienia jej rady—że się w tem kryje jakaś dziwna historya. Ten pan, co go zabrał, znał się z nim pewniusienku, bo nawet rozmawiali zaraz potem ze sobą i to jeszcze takim językiem, jakiegom jeszcze nigdy nie słyszała.

— Pewnie po francuzku — wtrącił ktoś.

— Ale o! gdzieżbym ta zaś tego nie poznała, gdyby mówili po francuzku? Przecieżem umyślnie podeszła ku nim trochę, niby się grzejąc, i słyszałam. Coś do żydowskiego podobne, ale nie po żydowsku.

— Aha! już wiem, to pewno po węgiersku.

— Ej gdzietam, przecieżbym odgadła zaraz, że Madziary, nie znam to Janosza czy co, tego co to tłucze w moździerzu u Sawiczowskiego.

— To może Turek bestya — rzekł Kazimierz.

— To być może; wiecie co państwo, że nawet bogdaj czy tak nie jest.

— Ej, ej, co też gadacie—wtrącił jeden z młodszych— przecież człowiek nas powitał po katolicku, a zkądżeby ta znowu był Turkiem. Czy oni to wierzą w pana Jezusa?

— O! o! wielka rzecz — mówiła bystra Jakubowa — niby to nie ma takich histoıyi, że się człowiek układa różnie. Trzeba być katolikiem, to nim jest, trzeba być Turkiem, jest i Turkiem. No, no, zobaczycie państwo, że się to przecie wykryje.

— A tymczasem Turek odbierze ci ostatni zarobek — dorzucił Kazimierz.

I szła rozmowa w tym tonie dosyć długo między węglarzami, ale jawnem było, że nikt nie znał Krzysztofa Malińskiego bliżej, i że wszystkie przypuszczenia ich były niepewnemi. Krzysztof tymczasem powrócił. Był nieco zmęczony, ale radość jakaś świeciła mu z oczu. Było to uczucie zadowolnienia z pierwszego zarobku. Towarzysze jego pomrukiwali między sobą.

— I dużo też pan dostał?—zapytał się go z przekąsem stary Kazimierz.

— Dziesięć centów — odpowiedział zapytany z naiwną szczerością.— Dziękuję Bogu i za to, bo jest to pierwszy mój zarobek, który mi jest bardzo miłym.

— O wierzę — mówił ciągle z drwinami Kazimierz — i mnieby była miłą szóstka, bo się człowiekowi diabelnie chce jeść.

— To się tu zdarzy i dla was moi drodzy — odrzekł z współczuciem Krzysztof. Ale słowa jego wywołały śmiech na usta złośliwych towarzyszy.

— A zkądże to jesteście mój przyjacielu? — zapytał się znowu Kazimierz.

— Tutejszy jestem — odpowiedział — długo mnie tu nie było, tęskniłem za moim Krakowem i za moją ojczystą ziemią, aż kiedy powróciłem, nieszczęście przywiodło mię do tego okropnego stanu, w jakim mię moi drodzy widzicie. Bolesno to człowiekowi wspominać przeszłość, dużo z niej mam zapamiętać, a wszystko rani serce.

— Ho, ho! toście wy coś ciekawego przeszli — wtrącił Kazimierz — możeście byli w wojsku?

— Byłem i w wojsku — mówił Krzysztof z westchnieniem — ale się wszystko nie wiodło. Porzuciłem ojczyznę i było mi zrazu lepiej... lecz potem, potem serce zatęskniło za ziemią rodzinną, i tak szło już odtąd coraz gorzej.

— A dawno jesteście w Krakowie?

— Będzie z pół roku, kiedy przyjechałem tutaj.

— Aha! — zawołała Jakubowa klaszcząc w ręce — nie powiedziałam.

— Nieszczęście jakie mnie spotkało w Krakowie, złamało mnie i upadłem.

— Ale tak mówicie jak ksiądz na ambonie, musicie być uczony.

— Kończyłem trochę szkół, ale i o tem wspominać nie warto.

— Byliście niegdyś panem?

— Byłem ci, byłem moi drodzy, ale co tam o tem gadać, kiedy dziś oto jestem nędznym wyrobnikiem.— I rzekłszy to Krzysztof się zadumał. Stary Kazimierz rozśmiał się szyderczo, ale niektórzy z węglarzy, którym w sercu nie wszystkie uczucia wygasły, z współczuciem spojrzeli na nieznajomego.

W tej chwili jego zadumy kilka osób przechodziło plantacyami na dworzec kolei z miasta, niektórym węglarzom nadarzył się także zarobek. Krzysztof jednak nie zwracał na nic uwagi, stał tylko niemy i bolesny, jak gdyby wspomnieniem swego nieszczęścia przykuty do miejsca.

Na plantacyach tymczasem odbywała się dziwna scena, dla przyjrzenia się której wszyscy wyrobnicy pospieszyli w to miejsce, gdzie się już gromadka ciekawych ludzi zebrała. Po środku tych ciekawych stał młody zapłakany żebrak, groźną rękę wyciągający za odchodzącą parą bogato przybranych i w ciepłe futro odzianych, jak się zdawało małżonków. Prowadzili się pod rękę i idąc z miasta szybkim krokiem spieszyli widocznie na kolej. Od samego miasta biegł za nimi ów młody żebrak, lat może dziesięć liczący, w lichy łachman odziany i dygocący od zimna. Wołał on ciągle na ową parę małżonków, aby go nie opuszczali, aby się zlitowali nad nim. Lecz oni biegli prędko, nie uważali na jego zaklęcia i groźby, i dopiero tu na plantacyach mężczyzna prowadzący dostojną damę, zwrócił się do niego, dał mu całego guldena jałmużny i pospieszył znowu dalej z swoją towarzyszką, która się ani nie obejrzała za żebrakiem.

— O, poczekajcie! — wołał za nimi żebrak — ja was jeszcze dogonię. Patrzcie się ludzie, to matka tak ucieka przed swojem dzieckiem.

— To twoja matka? — pytali się ciekawi.

— Owaryowało biedactwo z mrozu — zauważał jeden z widzów.

— I wieleż ci dali?

— A dali mi papierek, ale ja chciałem pójść z matką moją, bo ją poznałem; to ona była, ona, co od nas uciekła.

— Ale daj jej pokój— perswadował ktoś praktyczny — masz guldena, biegnij do miasta i zagrzej się, bo zziębniesz mój chłopcze.

— Ciekawy dzisiaj dzień — mówiła Jakubowa zwracając się ku swemu stanowisku wraz z innymi wyrobnikami; tu jedna historya ze starym, tu druga z dzieckiem. A kto

wie, może to i jego matka. Bywa to bywa, różne się wypadki zdarzają. A gdy wracali, i płaczący chłopczyna także już zdążał ku miastu zaniechawszy pogoni za bogatą matką, może zaspokojony guldenem:—Krzysztof zerwał się nagle z swego stanowiska, poskoczył ku żebrakowi, i chwyciwszy go za rękę zawołał: Adasiu! Tyś tu?

Żebrak spojrzał ciekawie Krzysztofowi w oczy, poznał snać głos jego i twarz wpatrzywszy się w nią dłużej, i krzyknął: Mój ojciec! Łzy mu się znowu zakręciły w oczach, w głowie widać mocno zaszumiało i potoczył się ku Krzysztofowi.—Tam poszła matka moja—mówił jąkając słowo po słowie i omdlewając na siłach.

— Twoja matka! — wykrzyknął Krzysztof — gdzie? tam?

— A poszła, poszła, jakaś bogata pani z panem pod rękę się prowadzili, i dali temu chłopcu reńskiego, on za nią wołał: matko, ale ona widać nie rozumie po polsku. Tak mówiła Jakubowa, wyręczając młodego żebraka, który nie mógł nic mówić z przerażenia.

— To ona! tam poszła!—wołał Krzysztof—Chodźmy!— i porwawszy ze sobą swego syna Adasia, pobiegł, poleciał raczej na dworzec kolei żelaźnej, aby ją dogonić, spojrzeć jej w oczy i może rozmówić się z nią o czemś ważnem. Zdyszany i zmęczony dobiegł wreszcie do dworca, wpada po schodkach do sieni, przeciska się gwałtem przez tłum ludzi wychodzących spokojnie, dostaje się mimo oporu na peron i widzi właśnie co odjeżdżający pociąg do Warszawy, unoszący jego żonę i matkę jego dziécięcia.

— Za późno!— krzyknął zrozpaczony Krzysztof, i stojąc chwilę w niemej boleści poglądał z goryczą za uciekającym z przed oczu szeregiem wozów, porywających mu może na zawsze to, czego już dawno szukał napróżno.

— Chodź Adasiu, chodź—mówił potem do swego syna— będziemy nosili węgle, to dobry zawód, ja już dziś zarobiłem dziesięć centów.

— A ja mam reński — wyrzekł wtedy biedny chłopczyna, podając papierek ojcu.

— Kto ci go dał?

— Ten pan, co prowadził matkę.

— Ten pan?! O! to łajdacka jałmużna, precz z nią!... i to mówiąc i zgrzytając zębami, targał w kawałeczki guldena i rozrzucał strzępy w powietrzu.

Ludzie się patrzyli i nie mogli zrozumieć tego szaleństwa.

— Taki nędzarz targa guldenowy papierek.

Adasiowi żal było guldena.

Krzysztof poszedł z kolei z Adasiem do miasta, ale już tego dnia nie było go pomiędzy węglarzami przy ulicy szpitalnej. Poszli obaj z ojcem odpocząć po silnem wrażeniu. Krzysztof zaprowadził Adasia do swego mieszkania. Wynajmował on u pewnego wyrobnika na Wesołej kącik w jego maleńkiej, ciemnej izdebce. Płacił a przynajmniej przyobiecał płacić miesięcznie 30 krajcarów za nocleg; na dzień nie potrzeba mu było izby, w nocy w niej zajmował szczupły kącik pode drzwiami. Krzysztof bowiem po ostatnim wypadku w ogrodzie pod Wilkiem, i po owej scenie, jaką widział w karczmie przy cmentarzu, przyszedłszy do siebie, postanowił rozpocząć nowe życie. Była to szczególniejszej siły natura. Cios po ciosie uderzał w niego coraz silniej, a on pod niemi nie upadał, ale owszem jakby się niemi hartował. Gdy go żona porzuciła, pił z rozpaczy; gdy syna złapał na kradzieży, wytrzeźwiał; gdy się zaś dowiedział, że brat jego rodzony należy do zdrady, jakiej się dopuściła na nim jego żona, chwilę tylko zabolał, ale wytrzeźwiawszy, poczuł w sobie siły do zwycięskiego pokonania swych przeciwności. Widział się on nazajutrz z swymi kufelkowymi towarzyszami, ale minął ich ze wzgardą, a może i ze wstydem za dziwne dla nich uratowanie złodzieja. Kiedy jednak tkliwy o los bliźniego Konik sam go umyślnie zaczepił, i jak gdyby nigdy nic nie zaszło, o coś innego się pytał, stanowczo mu Krzysztof odpowiedział, że musi sobie innego szukać towarzystwa, bo go nie stać na zabawę w takich kosztownych kompaniach. Sam też istotnie zaczął przemyśliwać nad najłatwiejszym sposobem do pracy. Postanowił zerwać zupełnie z przeszłością, wyrzec się wszelkich stosunków z ludźmi i zaprządz się do pracy, aby tylko żyć, w tem życiu swojem zdawało mu się bowiem widzieć gdzieś w oddali nieodgadnioną przyszłość; może dziecko jego, może pokuta żony nastrajały jego serce do tej tajemniczej myśli; bądź jak bądź postanowił, nie dać się przygnieść losowi i postawić czoło przeciwnościom. Że zaś był całe życie swoje bardzo religijnym, lubo nie fanatycznym ani bigotem, w poczęciu nowego życia zwrócił się najprzód do Boga. Poszedł do kościoła panny Maryi. Wspaniała ta świątynia usposabia niezepsutych ludzi do gorącej modlitwy. Krzysztof lubił się w niej modlić. Modlił się i dziś. Prosił Boga o błogosławieństwo do nowego zawodu, prosił gorąco, a gdy obok uczucia religijnego obudziły się w duszy jego inne uczucia ludzkie — ojcowskiej miłości — i wspomnienie o żonie, zapłakał serdecznie wśród modlitwy, tak że modlący się obok niego zwrócili na niego uwagę. Gdy wychodził ze zwieszoną głową z kościoła, zaczepił go więc jakiś człowiek, w lichem ubraniu, z wybladłem obliczem i zapłakanemi oczyma.

— Mój człowieku — rzekł do Krzysztofa nieznajomy — a co was to gniecie na sercu, że tak rzewnie płakaliście w kościele?

Krzysztof spojrzał na pytającego. Na twarzy jego wyczytać można było szczerość i prawdę słów, które mówił. To też zapytany odpowiedział z całem zaufaniem:

— Ot bieda mój bracie! Troska przygniotła, to i lżej gdy się człek wypłacze przed Bogiem.

— Cóż przecie? — spytał się z prawdziwym żalem i niekłamanem współczuciem nieznajomy — nie bierzcie mi

za złe, że się tak pytam. I ja przeszedłem trochę boleści w życiu, a widzę, że wy nie jesteście tylko troską o chleb powszedni skłopotani, ale że się wam musiało przydarzyć coś bardzo przykrego.

— Zgadliście, mój bracie, zgadli; nie o kawałek chleba mi chodzi, choć i o niego starać się przyjdzie człowiekowi— A kiedy już w ten sposób zaczęli rozmawiać ze sobą, więc zapoznawszy się bliżej wyspowiadali się sobie nawzajem ze swych boleści. Nieznajomy nazywał się Tomasz Woliński, był rodem z Krakowa. Krótką była historya jego przeszłości. Majętny niegdyś, przez ogień, choroby i złych ludzi stracił wszystko, a owdowiawszy zawcześnie został sierotą z pięciu małoletniemi sierotkami, w ich życiu i przyszłości całe swoje szczęście pokładając. Bóg go jednak postanowił ciężko próbować. Z pięciu sierot, co tylko które dochodziło już lat takich, w których na siebie pracować zaczynało, odbiegało każde od ojca po trwalsze szczęście do Boga. Najpierwsza córka umarła mu, mając lat 17 i będąc już guwernantką w tak zacnym domu, że o jej wyprawie już myślano. Drugi zmarł chłopiec pietnastoletni, właśnie kiedy otrzymał stypendyum zapewniające mu utrzymanie aż do ukończenia wszystkich nauk. Trzeci synek umarł mu wyzwoliwszy się na czeladnika u szewca, czwarty będąc już subjektem aptekarskim; ale najdotkliwszą była strata syna najstarszego, który w samą wigilię swego wyświęcenia na księdza nagle na apopleksyą skonał. Ciężkie te i okropne próby opatrzności nie złamały jednak nieszczęśliwego ojca. Poddał się on woli Boga i z pokorą dźwigał krzyż swego żywota. Na życie zarabiał wyrobnictwem i różnemi posługami ludziom, których miał sposobność poznać nie mało. Mieszkał na Wesołej w domku pewnego starego wojskowego, którego syn zaprzyjaźnił się był wielce z jego najstarszym chłopcem, i który mu dał prawie łaskawy kącik u siebie. Wypowiedziawszy całe dzieje swoje Krzysztofowi, wysłuchał następnie i jego bolesnych kolei, a spólność doli i harmonia bolu zespoliły ich serca gorącą i szczerą przyjaźnią.

— Ej tośmy sobie blizcy panie Krzysztofie — rzekł Tomasz, ocierając z łez oczy po wysłuchaniu bolesnych wydarzeń emigranta— z tą tylko różnicą, że mnie śmierć a tobie żywi nanieśli nieszczęścia. Chodźcie ze mną, poznam was z moim poczciwym wąsaczem, on i wam pozwoli odpocząć u siebie. Trzeba wam wiedzieć, że i on pamięta podchorążych warszawskich, i że i jemu nie wystygło serce na niedolę bliźniego. — I poszli. Krzysztof się nie opierał.

Stary wąsacz przyjął go serdecznie, i pozwolił mu zamieszkać z Wolińskim, przyjmując pozornie zobowiązanie płacenia miesięcznie po trzydzieście krajcarów za nocleg. Tam więc Krzysztof nawrócił się. Przy pomocy Wolińskiego zaopatrzył się w kosz jakiś stary, i za jego radą poszedł nazajutrz na róg Szpitalnej ulicy, gdzieśmy go na początku tego rozdziału poznali. Scena na kolei rozdraźniła go na nowo. Nie poszedł jednakże pić, ale nie wypuszczając już z rąk Adasia, zabrał go ze sobą do Wolińskiego. Tam w obecności chłopca zrobiono nad nim naradę, i postanowiono oddać go do warsztatu w sąsiedztwie mieszkającego szewca Jakuba, który zaproszony na naradę, przyrzekł także podjąć się nad osierociałym opieki. (C. d. n.)

Na dniu 19. maja r. b. odprowadziliśmy zwłoki ś. p. XAWEREGO GODEBSKIEGO na miejsce wiecznego spoczynku. Jak wielką stratę poniósł w nim kraj, mówić nie potrzebujemy; czuje ją każdy, kto znał choćby z imienia tylko tego rzadkich cnót i wielkiej zasługi męża. A któż go nie znał? Sześćdziesięcioletni żywot jego tak pełen był poświęcenia i pożytecznej pracy dla ojczyzny w zawodzie politycznym i literackim, wpływ jego we wszystkich stosunkach zarówno prywatnych jak i publicznych był tak znakomity, że biorącemu jakikolwiek udział w naszem życiu publicznem prawie nie podobna było nie zetknąć się jeźli nie z osobą, to przynajmniej z imieniem i sławą nieboszczyka.

Nie dla podniesienia też zasług jego, uznanych już powszechnie, zabieramy głos tutaj; chcemy tylko na kartach tego pisma, którego był najżyczliwszym doradzcą i spółpracownikiem, złożyć hołd jego pamięci, i w imieniu naszych czytelników wyrazić serdeczny żal nad niepowetowaną stratą, jaką pismo nasze przez zgon jego poniosło.

Kto zna dzisiejszy stan literatury naszej, ubogiej w sumiennych pracowników; kto wie, z jakiemi trudnościami musi dziś walczyć dziennik, jeźli nie chce byle czem zapełniać kolumn swoich: ten pojmie, jak dotkliwym jest ubytek każdego znakomitszego i poważniejszego pióra, a takiem było bez zaprzeczenia pióro ś. p. Godebskiego. A będzież je zastąpić komu? Dałby Bóg! Ale dziś z bolem serca widzimy, że w przednich szeregach duchowej armii naszej powstają coraz liczniejsze luki, a zapełnić ich nie ma komu!

# KRONIKA.

Dnia 20. maja.

Gdybyście teraz spytali mnie, co słychać? Byłbym i jestem niestety w najstraszniejszym kłopocie z odpowiedzią. Słychać szum chaosu, słychać milczenie złowrogie jakiejś czarnej otchłani, słychać nadchodzącą śmierć i zniszczenie. Źle słychać, ale to złe nie należy do sfery naszej, choć się i do niej przedziera. Nie wolno nam tu mówić o polityce, o stanie społeczeństwa, o upadku charakterów, o poniżaniu narodu, nie wolno wspomnieć o waszej delagacyi, ani o panegiryku dla pewnego zakonu napisanym przez Katkowa (!!) ani... Milczmyż. Tak, milczmy, ale w obec tych boleści, które ściskają serce, zamykają się usta, drętwieje myśl, gubi się pamięć, człowiek obojętnieje na wszystko co go otacza.

Co wam dziś napiszę — nie wiem. Ale jest przecie radośna nowina jedna. W Krakowie zbiera się konferencya Towarzystwa przyjaciół oświaty; jesteśmy pewni, że to jej posiedzenie przyniesie pożądane owoce. Przy takiem usposobieniu ludu, jakiego dowodzą poczciwe listy Macieja Szarka z pod Wieliczki, przy pomocy samych wieśniaków, praca pójdzie łatwo. Drugą nowiną wielkich nadziei jest prawdopodobne mianowanie utalentowanego młodzieńca, świeżo doktoratem zaszczyconego hr. Tarnowskiego, na miejsce zasłużonego profesora Mecherzyńskiego. Powiedzą może gderliwi, że Akademia trochę się spieszy, że temu talentowi należałoby dać ostygnąć nieco, wytrawić się, przyjść do pewnej równowagi sił, harmonii i spokoju ducha, że młodość ma swe przymioty na katedrze, ale ma i — pewne niebezpieczeństwa... My, my przyklaśniemy temu wyborowi z całego serca, choćby dla tego, że jak noblesse oblige, tak i toga profesorska obowiązuje. Wpłynie to korzystnie na człowieka talentu, bo i powodzenie czasem miewa wpływ dobry... Trzecią nowiną radośną także, jest spodziewany obraz Matejki, wystawujący uroczyste podpisanie aktu unii lubelskiej. Z tego cośmy słyszeli o nim, można się znakomitego spodziewać dzieła. Ostatniemi czasy Matejko dał się poznać z nowej strony swemi rysunkami do Kłosów i Tygodnika illustrowanego warszawskiego, pełnemi charakteru i wyrazu. Jest między niemi kilka postaci przejmujących, narysowanych, odgadniętych z potęgą mistrza. Tygodnikowi illustrowanemu ubył bardzo dobry rysownik w Juliuszu Kossaku, o którym chodzą wieści, że ma osiąść w Krakowie i zakładać nowe pismo illustrowane. Nie zdaje się nam to prawdopodobnem, bo Krakowowi zbywa na wszystkiem, na drzeworytnikach, na nakładcach. a... na ostatek nawet na abonentach. Pismo takie by żyć i utrzymać się mogło, wymaga znacznej liczby ostatnich... a o tę u nas najtrudniej.

Ze smutkiem dowiedzieliśmy się o niesłychanem fiasco, jakie uczyniło przedstawienie dramatu Syrokomli na korzyść sierotek jego. Lenartowicz który o tem w Mrówce wyczytał, pisze do nas z projektem, ażebyśmy książkę zbiorową wydali na cel wsparcia rodziny przez pana Jagielskiego złupionej. Myśl tę chwyciliśmy, ofiarujemy się drukować i wzywamy braci po piórze i duchu, aby nam nadsyłali jałmużnę swą do książki, której chcemy dać tytuł: Dzieciom Syrokomli. T. Lenartowicz, który podał ten projekt, piszący te słowa, p. Jan Zachariasiewicz, p. A. Pług, przyjaciel zmarłego, już na pewno współpracownictwo przyrzekli. Nie odmówi go ani zacny Winc. Pol, ani Kornel Ujejski, do którego odzywamy się przez pismo wasze, ani Bałucki, ani Szczepański... Z tego wszystkiego złoży się przecie wiązanka choćby maleńka, a rozprzedażą jej zajmą się księgarze bezinteresownie, choćby dla zmazania winy pana Jagielskiego, który im wstyd zrobił wszystkim. Wszak prawda?

Jeżeli z rozprzedaży tej książki zbierze się znowu jakie złotych dwadzieścia? To społeczeństwo nasze weźmie na siebie grzech niewdzięczności i zobojętnienia, a my przynajmniej w sumieniu naszem będziemy czyści.

Wedle dawnego porządku rzeczy, zwykle autorów znakomitych morzono głodem, potem sprawiano im wspaniałe pogrzeby, pisano panegiryki i opiekowano się dziećmi. Czyżby z postępem czasu przyszło do tego, żeby umorzywszy autora, wdzięczna społeczność mściła się na sierotach za to, że ojciec nadto pięknie spiewał? Wszystko to być może.

Wiek jest w takiego rodzaju postępie, że nas już nic a nic nie dziwi... wolno mu wszystko; wyobrażenia dawne i zasady jak zużyte monety wywołano, tradycyi się zaparto, świat nowy, obyczaj nowy, nowa moralność, nowe prawa. Jeźli przyjdziemy do tego, że dokuczliwych pisarzy ścigać będą jak złoczyńców, gęby im kneblować i ręce wiązać, już i temu dziwić się nie będzie można.

Po wszystkich transfiguracyach i metamorfozach, jakich doznał świat i nasz naród, opinja publiczna, ludzie w których wierzyliśmy— wszystko możliwe...

Nie oglądaliśmy dotąd wyszłego już w Paryżu Rocznika Towarzystwa literacko-historycznego; ma w nim być ciekawa biografia jenerała Zamojskiego i artykuł obszerny Bronisława Zaleskiego: o posiadłościach Rosyi w Azyi. A ponieważ o nim mowa, dodajmy, że znakomity ten akwafortysta ma na wystawie paryzkiej tegorocznej bardzo piękną rycinę, którą byście wy jako premium dla Strzechy nabyć powinni. Przedstawia ona wnętrze Colosseum w Rzymie i zamyślonego wśród ruin Zygmunta Krasińskiego. Postać poety umieszczona nader szczęśliwie, nadzwyczaj podobna, całość prześlicznie wykonana i pełna efektu. Dla samej zachęty artysty, dla zaszczepienia smaku w sztychach tego rodzaju, rozpowszechnienie ryciny byłoby bardzo pożądanem.

Niezmiernie szczęśliwa była myśl umieszczenia wśród arkad Zygmunta. Wiemy z jego listów, jakie na nim wrażenie czyniło Colosseum i Via Appia, którą tak przebiegać lubił, o której tak cudne są jego wierszy kilka w listach do Sołtana. Jak tu nie przypomnieć tego początku listu z r. 1838.

W kształtach już nie ma dawnej treści ducha,
I rzymska hardość i chrześcijańska skrucha,
Tą samą obie purpurą odziane
Skonały obie — a kształty stroskane,
Gdy słońce wschodzi z błękitnych mórz łona,
Szemrzą na brzegach westchnieniem Memnona
Skargę nieszczęścia, hymn dzikiej żałoby,
Co wyszedł z grobów i powraca w groby;

Bo mu serc żadnych nie wtórują bicia —
I w ziemi bogów, duch ludzki bez życia.

Nie wahałem się powtórzyć tych kilku wierszy, bo choć je skradziono i wydrukowano już raz, mało są znane a należą do najpiękniejszych poety. W ogrodzie wiekuistym przebywa w tej chwili i wasz jeden poeta, noszący to samo imię, którem się wkrótce ma pochlebić katedra po Mecherzyńskim. Poleciał tam słuchać pieśni ruin i natchnąć się nią, słuchając Liszta, którego przyjaźń otworzyła mu Włochy, a jeniusz mu je tłumaczy w języku muzyki. Jest to młodzieńcza, gorąca, poetyczna organizacya, po której wiele spodziewać się można, poeta razem i muzyk, a całem sercem artysta — i Polak całem sercem. Jemuście winni wydanie Archiwum Wróblewieckiego z tak ciekawemi pamiętnikami końca XVIII wieku.

W bardzo szczegółowem sprawozdaniu o literaturze jeograficznej całych Niemiec z lat ostatnich, Dr. Otto Delitsch, zaliczywszy naturalnie i Galicyą do Niemiec, powiada, że „für Galizien ist neuerdings nichts selbstständiges erschienen“ przywodzi tylko dr. Zieleniewskiego dziełko o wodach w Krynicy i o mineralnych źródłach w Dorna-Watra na Bukowinie, rzecz pana Karola Denarowskiego. Bardzo byśmy radzi, ażebyście mu zadali, że się z literaturą niedostatecznie poznał, i że o jeografii i etnografii Galicyi jest coś więcej wydanego. Na nieszczęście, nic mi jakoś na myśl nie przychodzi, i wzywam waszej pomocy w tej mierze. Dopełnijcie.

J. I. Kraszewski.

*Ze świata.*

(Domowe pożycie Mormonów). Czytelnicy nasi słyszeli już pewnie nieraz o sławnej amerykańskiej sekcie Mormonów, której głównym artykułem wiary jest wielożeństwo; sądzimy wiec, że może być zajmującym dla nich obraz pożycia ich domowego, jaki podaje teraz wychodzący w Jllinois dziennik urzędowy. Głównym przedmiotem tego opisu jest naturalnie dom i rodzina Brighama Younga, proroka i głowy tej sekty, roszczącej sobie nazwę „świętej“; ale na nim też można poprzestać, bo z niego biorą wzór wszystkie rodziny mormońskie. Otóż co pisze ten dziennik:

„Podług mniemania tych nowożytnych Świętych otrzyma ten, kto na ziemi najwięcej żon posiadał, najwyższą nagrodę w niebie, czy dlatego jednak, iż taki wielożeniec uważany jest za męczennika, czy też z innego powodu, tego powiedzieć nie umiemy. Skutkiem też tego pięknego artykułu wiary zaopatrzyli się należycie w żony wszyscy dwunastu apostołowie, którymi Brigham Young otoczył się na wzór Chrystusa, mianowicie postarał się z nich każdy o 3 — 7 żon, a drugi prezydent kościoła Mormonów, Daniel Wells posiada ich nierównie więcej jeszcze. Pomieszkanie samego Brighama Younga jest na podobieństwo pałaców tureckich otoczone wysokim murem. Na murach ciągną się szpalery z winnej macicy, a na dziedzińcu, przedstawiającym bardzo przyjemny widok, rosną obficie jabłonie, grusze i brzoskwinie. W południowo-zachodnim rogu znajduje się „urząd dziesięcinny,“ gdzie składają dla proroka dziesiątą część wszelkich płodów, jakie wydaje kraina Świętych. O kilka kroków na wschód od tego bióra wznosi się trzypiątrowy budynek ze stromym dachem gontowym i o dziesięciu oknach z każdej strony. Na balkonie nad drzwiami umieszczony jest lew z wyrazem przymilenia. To jest harem proroka. Kryty chodnik wiedzie dziedzińcem do bióra Brighama Younga, zkąd rozchodzą się druty telegraficzne do wszystkich osad mormońskich. Inny chodnik wiedzie do prywatnego pokoju, w głębi którego znajduje się sypialnia Brighama. I tam to przyjmuje władzca Świętych swoje żony, rozumie się jedną po drugiej, dziś Amelię, jutro Ewelinę, pojutrze Łucyę itd. Pierwszą żoną, którę zaślubił Brigham nie będąc jeszcze apostołem, jest Marya Anna Angell, z którą ma pięcioro dzieci. Teraz mieszka ona w obszernym domu za haremem i rzadko kiedy odwiedza ją prorok. Ile żon ma Brigham teraz, nikt nie wie z pewnością; jedni mówią, że trzydzieści, inni podnoszą tę cyfrę aż do siedmdziesięciu. Jedną z najpiękniejszych żon w haremie proroka ma być Łucya Bigelow; jest to szatynka średniego wzrostu, z niebieskiem okiem, rzymskim nosem i świeżemi różowemi ustami. Słońcem jednak haremu jest Ewelina Free, jak powiadają—smukła, nadobna postać o łagodnem, niebieskiem oku i obfitych jasnych lokach. Jestto faworyta proroka, za którym poszła wbrew woli rodziców swoich do haremu i obdarzyła go tam ośmiorgiem dzieci. Odszczególnienie jednak, jakiego doznawała wobec innych niewiast haremu, obudziła ich zazdrość przeciw niej, i omal nie przyszło do rewolucyi pałacowej. Brigham kazał przeto zbudować sobie osobny przechód z swojej sypialni do pokoju faworyty, ażeby tym sposobem utaić przed innemi swoje częste odwiedziny u ukochanej Eweliny.—Liczba dzieci Brighama Younga ma wynosić 70—80. Gdy książę Mormonów z całą familią swoją siedzi w teatrze, stanowi ona już sama dość liczną publiczność. Teatr ten kosztował 200.000 funtów szterlingów i jest jednym z najpiękniejszych w Stanach Zjednoczonych. Brigham Young ma w nim swoją własną lożę, a dla familii jego znajdują się na dole krzesła z czerwonem obiciem. Jako nieograniczny władzca armii żon i dzieci i narodu Świętych, otoczony ziemskim przepychem i przejęty nadzieją wspanialszych jeszcze roskoszy w niebie, przepędza Brigham wcale przyjemnie swe życie, i chyba tylko myśl o nieustannem zbliżaniu się świata pogańskiego, który może wkrótce zniweczyć całe to królestwo Świętych, zakłóca poniekąd jego spokojność.

(Z królestwa mody). Jeźli można wierzyć pogłosce, którą przyniosły właśnie jaskółki z Paryża, ma wkrótce szenion doznać tego samego losu, co nieboszczka krynolina, przynajmniej miał powziąść komitet niewieści w Paryżu uchwałę, że szenion ma być zniesiony. Ale czy wierzycie wy temu, szanowni czytelnicy? Kobiéta choćby obdarzona wszelkiemi wdziękami, jakie płeć jej posiada, ulega przecież tak dalece dziwactwom mody, taką jest niewolnicą próżności, że trudno przypuszczać, ażeby to postanowienie mogło być prawdziwem. A zresztą gdyby nawet kobiéty miały chęć pozrzucać te poduszki z głowy, czyż ustąpiliby tak łatwo fryzyery, którzy posiadają jeszcze tak znaczne zasoby szenionów i nie chcieliby ich pewno obrócić na ogony do orłów papierowych, które w jesieni puszczają chłopcy. Prawdopodobnie więc skończy się tylko na nowem ubraniu głowy, które nie wywoła żadnej rewolucyi między fryzyerami. Przebąkują już nawet, że to ubranie będzie skromne i pojedyńcze, ale za to ma spadać włos aż po pas

w lokach, puklach i warkoczach. Ot i wszystko skończy się jak najlepiej, bo będzie i wilk syty i koza cała.

Ale kiedy już zawadziliśmy o tę słabość płci pięknej, to godzi się wspomnąć także o filipice, z jaką występuje w obronie jej jakaś wielce wymowna i dowcipna oratorka w Berlinie, której Bogiem a prawdą trzeba przyznać słuszność w wielu względach. „I któż to — mówi ona między innemi — chce nas, kobiéty, potępiać za to, że się zdobimy obcym włosem, że przypniemy broszkę brylantową do piersi? Ta ozdoba, ta broszka kosztuje może 50, dajmy, że nawet 100 i 200 talarów. A cóż to jest w porównauiu z broszą, którą mężczyzna do piersi sobie przypina? Nie poświęcaż on nieraz tysięcy na to, ażeby mógł tylko przyczepić sobie do klapy nędzną wstążeczkę, która tak pochlebia jego próżności? A jeźli my zawieszamy sobie złoty łańcuch na szyję, ileż kosztuje mężczyznę maleńki złoty łańcuszek, na którym wiesza on wszystkie te cacka swojej próżności, błyszczące gwiazdki i krzyżyki, o które przez długie lata się ubiegał, dla miłości których uginał karku i bił pokłony pierwszemu lepszemu błaznowi dworskiemu?“

I któżby, pytamy, nie przyznał słuszności temu argumentowi? Jest on tak trafnym nie tylko w Berlinie, ale wszędzie, że na 50 mężczyzn nie wahałoby się pewnie 48 skakać przez obręcz, ażeby uzyskać wstążeczkę choćby nawet kosztem majątku swoich dzieci, albo i czegoś więcej jeszcze... Ale czyż przez to miałoby już być usprawiedliwionem noszenie szenionu? Niech nam wybaczy piękna oratorka (bo nie wątpimy, że musi być piękną), ale niedorzeczność Piotra nie może usprawiedliwiać niedorzeczności Marcina.

(Jeszcze o premiach dziennikarskich). W przeszłym zeszycie „Strzechy“ opowiadaliśmy czytelnikom naszym o rozmaitych premiach, jakie dzienniki francuzkie i niemieckie ofiarują swoim abonentom. Były już zegary, sztućce srebrne, fulardy, koncerta itp., ale wszystko to nie może się równać z premią dziennika „La Famille“, który teraz przyrzeka swoim abonentom maszynę do szycia. Dziennik ten kosztuje rocznie tylko 20 franków, ileż może kosztować ta maszyna do szycia?

Przyjdzie jeszcze do tego, że dzienniki będą gwarantować swoim abonentom wolne pomieszkanie na cały rok i do tego jeszcze daremny opał przez zimę. Inne dzienniki może przyjmą na siebie płacenie podatków, jeszcze inne bezpłatne zaopatrywanie kuchni, i tak dość będzie na przyszłość prenumerować się na trzy lub cztery dzienniki, ażeby żyć przez cały rok bez kłopotu i troski.

(Statystyka starych panien). Jak się pokazuje z najnowszych wykazów statystycznych całej kuli ziemskiej, nie jest żadna część świata tak niedogodną dla płci pięknej, jak nasza uczona Europa. Cyfry stwierdzają tę smutną prawdę najlepiej, bo gdy w Europie przypada w przecieciu na 100 kobiét aż 30 starych panien, jest ich w Azyi zaledwie 10, w Afryce 5, w Australi 2 na 100, a w Ameryce to już i na pokaz nie znajdzie starej panny. Ba, są tam nawet kraje, jak Kalifornia, Newada, Colorado i inne, gdzie na jedną kobiétę wypada po czterech, ośmiu a nawet po dwudziestu mężczyzn. Miły Boże! — to prawdziwy Khanaan dla panien, byle tylko przeprawić się za morze!

(Niebezpieczeństwa maszyny do szycia). W pewnym niemieckim dzienniku przedstawione są szkody, jakie natężona praca przy maszynach do szycia zrządza w zdrowiu robotnic, w sposób tak przekonywający, że pospieszamy przytoczyć pokrótce te obawy, spodziewając się, że złe nie pozostanie bez ratunku, zwłaszcza gdy obecnie tak liczną klasę pracujących dotyka. Na maszynie do szycia sprawdza się daleko dobitniej pewnik, stosujący się do wszystkich maszyn w ogólności „że co się zyskuje na prędkości, traci się na sile.“ (Przy welocypedach pewnik ten winien być postawiony na pierwszym planie). Wiadomo, że maszyną do szycia nierównie szybciej szyć można jak zwyczajną igłą, ale o tyle też znaczniejszy stopień siły rozwinąć należy dla wprawienia maszyny w ruch. Nie bez przyczyny też konie, jeżdżące po żelaznej kolei konnej, zmienia się co trzy godziny, omnibusowe zaś co dwie odpoczywają. Z ulgi tej, uznanej za konieczną dla zwierząt, nie korzystają jednak biedne dziewczęta, od których wymaga się, aby dziesięć, dwanaście lub więcej godzin poruszały nogą pedał, przyczem ciało w tem wytężonem położeniu perjodycznym i szkodliwym ulega wstrząśnieniom. Lekarz francuzki dr. Guibout pierwszy w sprawozdaniu swojem przed zebranymi medykami wykazał prawdziwe niebezpieczeństwo, towarzyszące temu rodzajowi pracy. Spełniając obowiązki przy szpitalu św. Ludwika, dr. Guibout miał ciągle w kuracyi robotnice, które od natężenia przy maszynie do szycia doszły do godnego uwagi stanu osłabienia i wyniszczenia; blade i zapadnięte ich policzki, przygarbiony grzbiet, ból w piersiach, określały aż nadto dobrze rodzaj cierpienia, ażeby jeszcze można było powątpiewać o szkodliwym wpływie, wywieranym na zdrowie robotnic przez maszynę do szycia. Wprawdzie można po części złemu zaradzić, dając pracującym obfitsze i posilniejsze pożywienie, któreby choć cokolwiek wynagradzało ubytek sił przy pracy; — ale nierównie skuteczniejszem byłoby zastąpienie w przyrządzie do szycia siły ludzkiej innym jakim mechanicznym motorem. Pierwszą próbę w tym kierunku uczynił już francuzki inżynier Cazal, zastosowawszy do szyjącej maszyny motor elektryczny, który zajmuje bardzo mało miejsca, a daje równie szybkie ruchy, jak noga ludzka, przyciskająca pedał. Podobne ulepszenie w maszynach do szycia, które już stały się niezbędnemi przyrządami, odpowiedziałoby pod każdym względem swemu celowi, nie narażając zdrowia tysięcy nieszczęśliwych robotnic.

(Nowy cudotwórca). Czytelnicy nasi znają już cudotwórczego zuawa francuzkiego, Jakuba, o którym opowiadaliśmy im w zeszłym roczniku naszego pisma. Teraz został on już przez swoich wielbicieli zaliczony w poczet Świętych, leczy wszystko, co mu się nadarzy, i jest na drodze do zrobienia majątku.

Ale armia francuska zdaje się posiadać w swem łonie cudotwórczą władzę, gdyż znowu wyszedł teraz świeży cudotwórca ze zwycięzkich jej szeregów, potwierdzając niejako zdanie pewnego sławnego męża: „że Francuz jest żołnierzem Boga.“

Tą razą wyszedł Święty z przybocznej gwardyi Napoleona III., z owego grona muszkieterów, których rekrutuje cesarz z pomiędzy najpiękniejszych i najsilniejszych ludzi, słowem z Gwardyi stu. Jestto niejaki p. Gérard, mężczyzna herkulicznej

budowy, młody jeszcze (gdyż urodził się w roku 1834), dobrego ułożenia i arystokratycznej ogłady. Porzucił on służbę wojskową, w przekonaniu, że jest powołanym do czegoś wyższego; mieszka w jednej z najlepszych dzielnic Paryża; ma żonę i dzieci, i przyjmuje u siebie najznakomitszych pacyentów, którzy wierzą w jego magnetyzm. Gérard zarabia rocznie do 80.000 franków, a mógłby zarabiać trzy razy tyle, gdyby tysięcy chorych nie leczył bezpłatnie swoim magnetyzmem, jak to opowiadają dzienniki paryskie, które nie szczędzą kadzidła na cześć jego.

Gérard jest synem żandarma z prowincyi. Dzieckiem jeszcze wyprawił go ojciec z kilkoma frankami do Paryża, gdzie u swego stryja uczył się przez kilka lat ciesielki. Poźniej wstąpił do armii i odbył kampanię krymską. Już wtedy leczył swoich kolegów i wskrzesił przyłożeniem rąk rodzonego brata swego, którego chciano już pogrzebać, jak to również opowiadają dzienniki francuskie. Wreszcie troskliwy o to, ażeby zbawienna władza jego nie była straconą dla cierpiącej ludzkości, urządził się jako cudotwórca w Paryżu, i jak widzimy, wierzy świat w niego.

A któżby nie wierzył słysząc o nadzwyczajnych zdolnościach, jakie ma posiadać ten rzadki człowiek. Pokoje jego są ozdobione olejnemi obrazami, które sam malował. Nie są to zapewnie dzieła mistrzowskie, ale przecież mają być ładne podług zdania tych, którzy je widzieli. A jak się to stało, że został malarzem? Najprostszym sposobem. Oto powiedział sobie: Będziesz w chwilach wolnych malować obrazy; wprawdzie nie miałeś jeszcze nigdy pęzla w ręku i nie masz najmniejszego wyobrażenia o farbach, ich właściwościach i używaniu, ale jakoś to pójdzie. Poszedł tedy do sklepu i zażądał wszystkiego, czego potrzeba do wymalowania obrazu. Kupiec zdumiał się, gdy mu Gerard wyznał, że nie zna się na malarstwie, a chce malować. Ale nie wiedział, z kim ma do czynienia. Gerard poszedł do domu, naciągnął płótno i malował wszystkie te śliczne obrazy, które zdobią teraz jego pokój, bez żadnego przygotowania, bez znajomości farb, tylko za pomocą swojego talentu. Takie to cudowne istoty wydaje teraz Francya!

(Życie zwierzęce na dnie morza). Na wniosek królewskiego towarzystwa w Londynie pożyczyła admiralicya angielska zeszłego lata doktorom Carpenter i Wyville Thomson, mały statek parowy, na którym przedsiębrali oni podróż naukową na północny Atlantyk, w kierunku zachodnim od wysp Faröer, i zarzucali siecie aż na dno morza. Chcieli oni mianowicie wybadać, czy w dolnych głębiach morza i pod jakiemi warunkami geologicznemi mogą znajdować się jeszcze żyjące zwierzęta. Zmarły profesor Forbes utrzymywał bowiem, że w głębokości 300 węzłów ustaje wszelkie życie zwierzęce, a znajdujące się tam muszle i żyjątka muszą być dla braku światła całkiem bezbarwne. Badania jednak owych dwóch uczonych mężów i przedsiębrane także gdzieindziej próby dowiodły, że w największej głębokości morza, wynoszącej 500—600 węzłów znajdują się w wielkiej ilości przepysznie ubarwione muszle i zwierzątka o pstrych kolorach. Oprócz tego przekonano się, że na samem dnie morza wylęga się mnóstwo drobnych żyjątek, i podług sprawozdania, które przedłożył niedawno dr. Carpenter Towarzystwu królewskiemu, mogą badacze przyrody i mikroskopiści liczyć na obfitą zdobycz, która wystarczy im na kilkoletnie badania i studya. Innym ważnym rezultatem tej wyprawy jest odkrycie, ciekawe szczególnie dla geologów, że tak zwany peryod kredowy nie należy jedynie do przeszłości, gdyż formacya kredy odbywa się jeszcze teraz na dnie oceanu atlantyckiego, i znajdują się w niej żyjące zwierzęta, zupełnie takie same, jakie znano dotąd tylko ze skamieniałości znachodzonych w warstwach wapiennych.

(Skoropęd wodny i lodowy). Człowiek nie zaspokoi nigdy swojej żądzy wygód. Zaledwie zdobyto się na wynalezienie welocipedu, ułatwiającego wędrówkę po ziemi, już pomyślano zaraz o zastosowaniu tego wynalazku także do wędrówki po wodzie, po gołoledzie, a w końcu przyjdzie jeszcze do tego, że i po powietrzu będzie można latać welocipedem. Przynajmniej w dwóch pierwszych kierunkach powiodło się to zastosowanie najzupełniej, gdyż istnieją już oprócz lądowego także skoropędy wodne i lodowe. Z pierwszym robiono niedawno próby na jeziorze Enghien pod Paryżem. Jestto statek złożony z dwóch wyżłobionych, nieprzesiąkających pomostów, 12 cali długości a 10 cali największej szerokości, i ściętych ostro na obu końcach. Te pomosty są oddalone od siebie o 20 cali i spojone poprzecznemi listwami. We środku znajduje się siedzenie w wysokości dwóch stóp nad wodą. Z przodu jest koło opatrzone 16 wiosłami, mające 3 stóp w średnicy i 8 cali szerokości. Oś jego spoczywa na mocnych żelaznych słupach. Poruszenia obrotowe wykonuje się za pomocą korb, obracanych nogami. Z tyłu zaś na każdym pomoście znajduje się ster. A ponieważ pomosty sporządzone są z lekkiego drzewa mahoniowego, przeto jest cały ten statek bardzo lekki i ślizga się z zadziwiającą szybkością po wodzie. Próba ta wypadła bardzo pomyślnie.

Natomiast skoropęd lodowy podobny jest po największej części do zwyczajnego welocipedu. Ma tylko jedno koło, które obraca się za pomocą rączki jak u maszyny lądowej, ale opatrzone jest ostremi kolcami, ażeby się nie ślizgało. Zamiast dwóch kół zaś z tyłu znajdują się dwie ostre stalowe łyżwy, jak u statków lodowych. Poruszanie jest naturalnie bardzo łatwe, i maszyna pędzi z niesłychaną szybkością po lodzie. Pierwsze skoropędy tego rodzaju pojawiły się w zatoce Hudsońskiej w Ameryce, gdzie w styczniu i w lutym wyprawiano niemi wyścigi. Czekajmyż jeszcze na skoropęd powietrzny.

(Niebieskie tulipany). Kwestya niebieskiego tulipana jest zawsze na porządku dziennym, najsławniejsi tulipomani z Belgii i Hollandyi, przybyli już do Paryża, aby być obecnymi przy kwitnięciu tulipanów pochodzących z najrozmaitszych krzyżowań i podlewanych pewnym płynem. Zapewniają, że cebulka pierwszego tulipana niebieskiego, który zakwitnie, będzie warta nie mniej jak trzy miliony franków. Cebula sławnego tulipana, zwanego la Brasserie, została sprzedaną za fran. 100.000 i przyniosla szczęśliwemu posiadaczowi kilka milionów majątku.

(Sztuczne wulkany). Doświadczenia medyolańskiego profesora, Paolo Gorini, nad sztucznemi wulkanami, żywe obudziły zajęcie w czasach ostatnich. Wynalazł on mieszaninę, za pomocą której doskonale naśladuje wszystkie zjawiska, towarzyszące naturalnemu wybuchowi wulkanicznemu, mianowicie:

podnoszenie się krateru, wybuch i rozlewanie się rozpalonej płynnej lawy i t. d. Podobny, z 200 kilogramów massy przygotowany wulkan buchał ogniem w ciągu dwóch godzin. Wprawdzie Włochy nie potrzebują obecnie sztucznych wulkanów, bo Wezuwiusz i Etna dotąd się nie uspokoiły; ale Medyolańczycy otworzyli subskrypcyę dla zebrania dostatecznych funduszów, za pomocą których mógłby profesor Gorini dokonać podobnych prób na wielką skalę.

(Zakład leczenia kumysem w Warszawie.) Lekarze warszawscy pp. Przystański i Nowakowski J. F. uzyskali pozwolenie na otwarcie zakładu leczenia kumysem z krowiego mleka. Pierwszy ze wspomnionych lekarzy przebywał lat sześć w mieście Troicku, w gubernii Oremburgskiej, między ludnością tatarską i kirgizką, gdzie miał sposobność jako lekarz doświadczyć leczniczych skutków kumysu (wyrabianego tam wyłącznie z mleka klaczy). Zakład został otwarty w pierwszych dniach maja r. b. w domu zwanym Rajtszulą, od ulicy Królewskiej. Kumys zalecany bywa we wszelkiego rodzaju chorobach płuc, zwłaszcza w początku suchot; w przewlekłych katarach przewodów oddechowych, w katarach przewodu pokarmowego, w upartych dyarjach, w bezkrwistości, w konwalescencyi po ciężkich chorobach, bladaczce, skorbucie, skrofułach, hysteryi i hypokondryi pochodzących z wysuszenia i małokrwistości, w bezsilności i t. d. Leczenie może się odbywać w ciągu całego roku; sezon zaś kuracyjny dla każdego chorego trwa sześć tygodni.

Nowa wystawa świata). W Londynie myślą znów o nowej wystawie powszechnej, ale dopiero na rok 1872, i na warunkach innych, niż były urządzone wystawy powszechne dotychczasowe. Trudno byłoby je przewyższyć, szczególniej ostatnią paryzką, a wreszcie i sami fabrykanci nie byliby podobno takiej wystawie radzi, pomnąc na ogromne koszta, jakie przy takiej okoliczności zawsze ponosili. Wystawa, o której myślą w Londynie, temby się od poprzednich różniła, że nie przyjmowanoby na nią wszystkiego, co dotąd za godne wystawienia uznawano, ale najgodniejsze tylko z najgodniejszego. Sami przemysłowcy każdego kraju zamieniliby się w sąd przysięgłych, i jako znawcy uznaliby, czy przedmiot przez jednego z nich proponowany do wystawy, należy do wyborowych między wyborowemi, i jest istotnie wyrazem postępu niewątpliwym. Taka metoda zredukowałaby niezmiernie ilość dostarczonych na wystawę przedmiotów, która zyskałaby w trójnasób na jakości, to coby na ilości straciła.

Praca kobiét i jej wynagrodzenie. W Nowym Yorku i okolicy żyje podług „New-York Journal" 75.000 kobiét, utrzymujących się z pracy rąk swoich. Slugi otrzymują tygodniowo 2 dolary 50 centymów prócz życia i mieszkania (dolar około 9 zł. pol.); szwaczki zarabiają na tydzień 4 dol. 50 cnt., robotnice przy fabrykach papeteryjnych (pudełek papierowych, kołnierzyków itp.) 5 dol., rysowniczki 12 dol., kopistki 6 dol., introligatorki, zecerki, telegrafistki i drzeworytnice 10 dol., wyrabiające krynoliny, koperty, bukiety, krawczynie, modniarki, parasolarki 7 dol., kwiaciarki, haftarki, kuśnierki, fryzjerki, kapeluszniczki, fotografistki, za polterowanie wyrobów bizuteryjnych 8 dol., użyte do robót jubilerskich 9 dol. W ogóle kobiéty, których zajęcie wymaga bardziej umysłowego natężenia, bywają lepiej wynagradzane; tak np. otrzymują redaktorki 18 dol. na tydzień, aktorki 15 dol. itd. Liczba kobiét lekarzy jest jak wiadomo w Stanach Zjednoczonych dosyć wielka. Na zarządczynie poczt prezydent Grant zamianował kilka kobiét świeżo.

(Małżeństwo za pomocą pary). Gdy niedawno pociąg marsylski zatrzymał się jak zwykle w małym dworcu w pobliżu Tarasconu, przystąpiło młodziutkie dziéwczę w skromnym czepeczku czarnym do wagonów pierwszej klasy, ażeby sprzedać świeże jagody, których w Paryżu nie było jeszcze o tym czasie. Piękność jej była tak zachwycającą, że syn jednego z najbogatszych jubilerów paryskich, który powracał właśnie z Genewy, zakochał się w niej szalenie.

— Zkąd jesteś, nadobne dziécię? — zapytał ją z wielkiem wzruszeniem.

— Z Arles.

— Czy poszłabyś za mąż?

Dziewczyna uśmiechnęła się. Po tej milczącej odpowiedzi wyskoczył młodzian z wagonu, kupił w dworcu drugi bilet do Paryża, i powróciwszy do handlarki jagód zawołał:

— Daj mi twoje jagody... Tak, a teraz siadaj, oto twój bilet.

— Ależ panie!...

— Spiesz się, bo pociąg odchodzi; ożenię się z tobą w Paryżu.

Dziéwczę wsiadło, a z Lugdunu wysłali już kochankowie następujące dwa telegramy: Nr. 1. Do owdowiałej pani L.: „Mamo, idę za mąż... bogaty pan i brunet... papiery posłać do pana X... ulica... w Paryżu..." — Nr. 2. Panu... w Paryżu: „Ojcze, żenię się z Arlezyanką. Przygotuj pokój i twoje przyzwolenie." Nazajutrz stanęli w Paryżu, a we dwa dni potem byli już małżonkami. Taką jest potęga pary!

## ZAPISKI Z BIBLIOGRAFII POLSKIEJ Z ROKU 1868—69.

Compte rendu de la fete de l'inauguration du monument pol. a Rapperswyl. Zurich 1868.
Czyrniański E. Rozwinięcie kryt. teoryi chemicznej. Kraków 1868.
Caro J. Geschichte Polens. III. Gotha 1869.
Chirurgia operacyjna. I. Kwaśnicki. Stankiewicz. Wszebor. Warszawa 1868.
Chlebowski S. Fizyka. Lwów 1868.
Czepiński i Langie K. Powsz. ogrodnictwo. 2 tm. Kraków 1868.
Z chwili wczorajszej. T. D. Toruń 1868.
Chwila zapomnienia. Toruń 1868.
Czaplicki W. Czarna księga. Kraków 1869.
„ Na Irtyszu. Kraków 1869.
Döring G. 30 slavische geistliche Melodien. Leipzig 1868.
Dobieszewska (Śmigielska) J. Zmiana roli czyli: Niespodziane swaty. Kom. Warszawa 1898.
Djetetyka dzieci itd. Lwów 1869.
Dzieduszycki M. Piotr Skarga. I. Kraków 1868.
„ Żywot W. Sierakowskiego. Kraków 1868.
Delert J. B. ks. Liturgika itd. Poznań 1869.
Elementarz do samouctwa w pisaniu, czytaniu i liczbowaniu. Paryż 1868.

Esquiros A. O przyszłości w życiu. Kraków 1869.
Flammarion. Wielość światów zamieszkiwanych. Tł. J. Waga. Warszawa 1868.
Fabisz P. W. ks. Wiad. o kardyn. godności i o kard. gnieznieńskich. Gniezno 1868.
Forster K. Klasom pracującym sześć książeczek. Berlin 1868.
Falke J. Gesch. August II. in volkswirth. Beziehung. Leipzig 1868.
Godebski X. Reformy społecz. w Polsce pod koniec XVIII wieku. Lwów 1868.
Godebski. Obraz Polski pod koniec XVII wieku.
Gomulicki. Kolorowe obrazki. Pow. Warszawa 1868.
Gosselen ks. Władza papieża w średnich wiekach. Tł. dr. W. Godlewski. I. Kraków 1869.
Goldszmit J. Achilles Fould. Warszawa 1869.
Horoszkiewicz J. Listy o rzeczach publicznych. II. Lwów 1868.
Jonsac. Życie Stanisława Jabłonowskiego. 4 tomy. Poznań 1868.
Jackowski. Stenografia polska. Lwów 1868.
Jaroszyński W. Miłość i szał, sceny liryczne. Warszawa 1868.
Kinkel G. La renaissance de la Pol. la force de l'Allemagne. Zurich 1868.
Kraszewski J. Kamienica w długim rynku. Warszawa 1868.
Das ehemalige Kloster Ossiach und der stumme Büsser Boleslaus. Insbruck 1868.
Klaudyusz Tillier. Żywot publicysty. Lwów 1868.



— Ależ moja duszko, ciężkie czasy...
— Ciężkie czasy, ciężkie czasy... Myślę, żebyś mi mógł przecie kupić tę aksamitną sukienkę, mimo twoich ciężkich czasów! Przecież nie zaprzeczysz, żem ci ładny posag przyniosła!
— Ach Maszerciu! Na co się było fatygować? Mogłaś mi go była przysłać pocztą; byłbym ci nierównie więcej obowiązanym.

## Poczta «Strzechy».

*WP. J. W. w Nowym Sączu:* W mniejsze powiastki do bieżącego rocznika jesteśmy już zaopatrzeni, ofiarowanej więc przyjąć nie możemy. — *WP. Karolowi Sz. w X.:* Niektóre szarady są bardzo dobre i będą użyte, ale nie zaraz, bo mamy znaczny zasób szarad.— *Szanownym abonentom Strzechy w okolicy Mielca:* Pan Korpanty Kazimierz w Mielcu przyjmuje zamówienia na „Strzechę" i „Bibliotekę Narodową" i dostarcza ich bez policzenia kosztów.

*„Bezimiennej" część II. p. tyt.: „Drugie życie" jest już pod prasą i wyjdzie za kilka tygodni. Uprasza się przeto wszystkich Szanownych abonentów „Strzechy," którzy życzą sobie nabyć tę II. część po cenie zniżonej tylko dla abonentów „Strzechy" na 2 złr. w. a., ażeby raczyli przesłać takową do księgarni podpisanego wydawcy.*

F. H. RICHTER.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyę F. H. RICHTER.

Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO